tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 16 (1115) ROK XXII 22 KWIETNIA 1979 R. CENA 3 zł

PRZEZ ŁÓDŹ BEZ MANDATU...

Rozmowa z Naczelnikiem Wydziału Ruchu Drogowego KW MO w Łodzi ppłk mgr Mieczysławem Kowalczykiem

— Panie pułkowniku, większości kierujących pojazdami milicjant w białej czapce kojarzy się ze srogim egzekutorem, który jest po to, by kierowcę ukarać mandatem lub skierować go do Kolegium d/s Wykroczeń...

— Stały wzrost motoryzacji powoduje, że coraz liczniejsze rzesze różnych użytkowników dróg, częściej niż dotychczas, mają bezpośredni kontakt z funkcjonariuszami Służby Ruchu Drogowego. Te codziennie widoczne kontrole pojazdów, rozmowy z kierowcami mogą sprawiać wrażenie, że każde takie spotkanie z funkcjonariuszem w białej czapce kończy się represją. Organa MO w swej działalności duży jednak nacisk kładą na profilaktykę, czego dowodem może być fakt, że na ogólną liczbę ujawnionych wykroczeń, w 64 proc. udzielono tylko upomnień i pouczeń.

Tę formę naszej działalności doceniają szerokie rzesze zmotoryzowanych czego dowodem są listy nadsyłane do Komendanta Wojewódzkiego MO. W listach tych podkreśla się wysoką kulturę funkcjonariuszy służby ruchu drogowego, ich fachowość i troskę o bezpieczeństwo i porządek na drogach.

Jest oczywiste, że jako odpowiedzialni za porządek i bezpieczeństwo w ruchu drogowym, mamy prawo i obowiązek stosować także sankcje karne w postaci mandatów, wniosków do kolegium i — czynimy to w stosunku do tych, którzy w rażący sposób naruszają zasady ruchu, narażając siebie i innych na straty materialne, utratę zdrowia, a nawet życia. Niemniej jednak robimy to z dużą rozwagą, uwzględniając rodzaj wykroczenia, stopień niebezpieczeństwa społecznego oraz zachowanie sprawcy po popełnieniu wykroczenia. Zdajemy sobie bowiem sprawę z tego, że odpowiednie stosowanie kary spełnia ważną rolę w kształtowaniu nawyku poszanowania prawa i zasad współżycia społecznego oraz umacniania porządku i dyscypliny społecznej.

Postępujący rozwój motoryzacji pociąga za sobą, obok cech społecznie pozytywnych, zjawiska negatywne, jakimi, między innymi, są wypadki drogowe. Straty biologiczne, społeczne i ekonomiczne z nich wynikłe niepoko-

Dalszy ciąg na str. 3

Foto: R. Łucyszyn

W NUMERZE:

Swing w Sztokholmie

Przerażona zahamowała, a potem, świadoma, że tak czy owak grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo, wcisnęła gaz do oporu, podczas gdy Ragar ciągle walił łańcuchem.

Poczuła szarpnięcie, tak jakby łańcuch zaczepił się o uchwyty bagażowe na dachu i przelatując skrzyżowanie na czerwonym świetle, zdołała jakoś zbiec.

10 złotych rubli

Mieczysław B. bardziej dla porządku niż z ciekawości, poruszył w owym miejscu czubkiem buta. Ukazała się moneta. Była to złota dziesięciorublówka. Udał, że dobija zająca, więc jeszcze raz grzmotnął nim o ziemię, szybko schował monetę do kieszeni, naprędce zaznaczył miejsce i powrócił do myśliwskiej braci.

Saga Fabianich

Do szkoły chodzili też Rosjanie — synowie miejscowych urzędników. Rzecz charakterystyczna — nigdy żaden z nich nie zdradził jak to naprawdę jest w tej szkole. Więcej: raz po odczytaniu publicznym jakiejś odezwy do młodzieży, stwierdzającej, że „kraj przywiślański" jest i pozostanie na wieki rosyjskim — wstał jeden z uczniów, Rosjan, i głośno powiedział: „To wszystko kłamstwo".

Strategia USA na Bliskim Wschodzie

Waszyngton chciałby także wybudować bazy wojskowe na terytorium Arabii Saudyjskiej, ale tutaj spotkał się ze zdecydowaną odmową następcy tronu Fahda. Jeśli chodzi o amerykańską marynarkę wojenną, to zapewniono jej możliwość „cumowania" okrętów w egipskich i izraelskich portach Morza Śródziemnego.

POZA TYM:

- Magazyn „ZAŁĄCZNIK"
- Poezja, proza
- Kronika kulturalna
- Recenzje
- Felietony

FELIKS PRZYŁUBSKI

SAGA FABIANICH

Rodzina Fabianich słynie z talentów pedagogicznych. Protoplasta rodu — Tomasz Fabiani — urodził się w 1802 roku w Miasteczku Śląskim koło Tarnowskich Gór. Jego ojciec był górnikiem, Tomasz, słabego zdrowia, na górnika się nie nadawał. Po ukończeniu miejscowej szkółki poszedł do cztero- i półletniego niższego seminarium nauczycielskiego w Głubczycach. Do wyższego seminarium nie został przyjęty z braku miejsc.

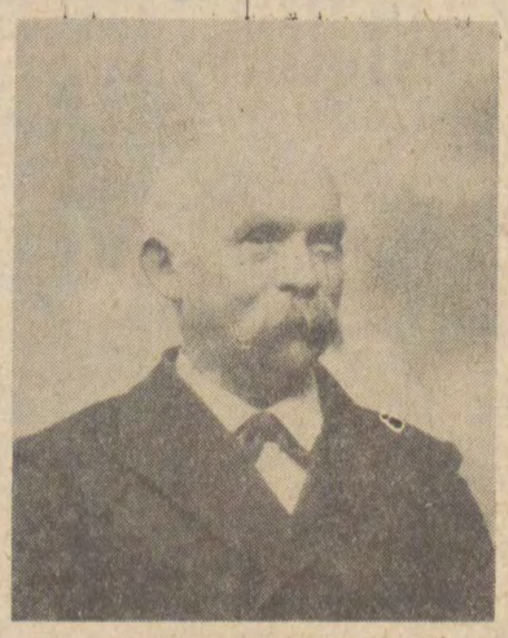

FELIKS FABIANI (1838—1904)

W zaborze rosyjskim, pod Częstochową, niedaleko Miasteczka Śląskiego, jego stryj, Marcin Fabiani, miał młyn. Wziął do siebie Tomasza i wyrobił mu posadę nauczyciela w Starej Hucie.

Starą Hutę zamieszkiwali koloniści niemieccy. Potrzebny im był nauczyciel władający dobrze polskim i niemieckim. Płacili jednak marnie: 30 rubli srebrem rocznie. Tomasz przyjął drugą posadę w Kamienicy Polskiej. Potrzebne mu były pieniądze, bo chciał się żenić. Pannę wziął ubogą, „ze służby w Nowej Wsi utrzymującą się". Stryj może by chciał inaczej, ale przystał, na ślubie świadkował i akt podpisał trzema krzyżykami, symbolem ludzi niepiśmiennych.

Uczył potem Tomasz w Krzepisach już za 120 rubli srebrem rocznie, uczył też w Iwanowicach. Najpierw musiał starać się o „patent", czyli zezwolenie na nauczanie, bo pruskiego dyplomu w zaborze rosyjskim nie honorowano. W 1838 roku pożar spalił pół Krzepic, a w tym szkołę i mieszkanie nauczyciela. W Iwanowicach dokuczały mu choroby. Gdy nauczyciel dłużej chorował i szkółka była nieczynna, usuwano pedagoga z posady. Ale Tomaszowi pomagali synowie, ucząc dzieciaki w zastępstwie chorego ojca.

Dwóch synów Tomasza, Feliks i Józef, poszło w ślady ojca. Ojciec dał im wykształcenie lepsze, niż sam zdobył. Zapewnił im dobry początek, a oni dalej pięli się już sami, zarabiając korepetycjami i przepisywaniem akt.

Feliks ukończył czteroletnią Szkołę Powiatową Ogólną w Wieluniu, potem roczny Instytut Nauczycieli Elementarnych w Radzyminie. Na posadę pojechał Feliks do Radomska. Uczył w szkole elementarnej, dorabiał lekcjami w prywatnej szkółce.

Był już rok 1862. Nad polskim szkolnictwem, gnębionym represjami po upadku powstania listopadowego, zaświtała nadzieja. Aleksander Wielopolski, mianowany właśnie przez cara naczelnikiem rządu cywilnego w Królestwie Polskim, wprowadził szereg reform, m. in. przywrócił w szkołach prawa języka polskiego, zalecił odbudowę sieci szkolnictwa i powołał do życia wyższą uczelnię w Warszawie: Szkołę Główną. Ponieważ nie można było szybko uruchomić potrzebnej liczby szkółek elementarnych, władze chętnie udzielały zezwoleń na zakładanie szkół prywatnych. W ciągu roku powstało ich około tysiąca. Z tej szansy skorzystał też Feliks Fabiani: 29 maja 1862 roku otrzymał upoważnienie do prowadzenia w Radomsku „dwuklasowey pensyi prywatney męzkiey".

Ta „pensja" to był dziwny twór. Trzy klasy — wstępna, pierwsza i druga — przerabiały program gimnazjum. Aby móc przyjmować dzieci nie umiejące czytać i pisać, Fabiani zorganizował klasę podwstępną i „preparandę". Nauka trwała więc ogółem pięć lat. Absolwenci pensji umieli bezbłędnie pisać po polsku i po rosyjsku, rachowali biegle, posiadali dużo wiadomości ogólnych. Chętnie przyjmowały ich biura i urzędy, głównie kolej.

Nim się szkoła Fabianiego rozwinęła, wybuchło powstanie styczniowe. Fabiani miał zbyt gorące serce, żeby do spisku nie należeć, ale zarazem przyuczony był do porządku, dobrej organizacji, odpowiedzialności. Pierwsze wystąpienia zbrojne powstańców w Radomsku skończyły się niefortunnie właśnie wskutek braku organizacji i lekkomyślności dowódców.

Dalszy ciąg na str. 8

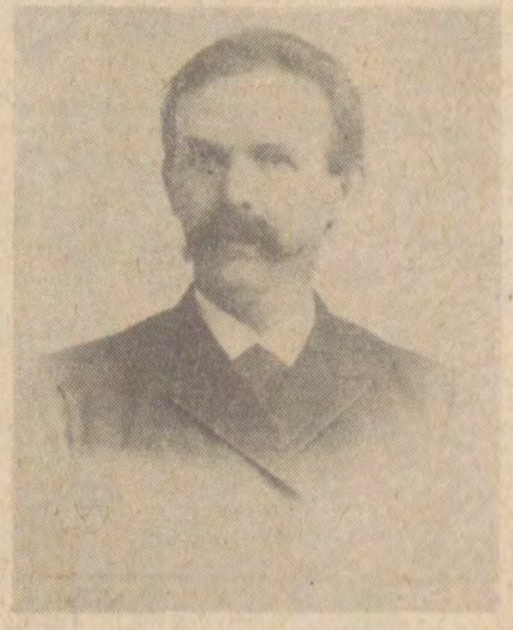

JÓZEF FABIANI (1844—1934)

KRONIKA KULTURALNA

60-lecie swego istnienia obchodzi w tym roku Związek Zawodowy Pracowników Kultury i Sztuki. Z tej okazji również w Łodzi odbędzie się — w okresie od maja do listopada — wiele imprez kulturalnych. Poprzedzi je 7 maja uroczyste spotkanie władz polityczno-administracyjnych województwa z działaczami związku oraz koncert jubileuszowy w Teatrze Wielkim. Na maj planuje się także: **Okręgowy Przegląd Orkiestr Taneczno-Rozrywkowych z udziałem ok. 60 zespołów** oraz ogólnołódzką spartakiadę dla pracowników kultury i sztuki. Członkowie związku przygotowują również szereg imprez z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka.

✲

Ukazał się drugi tom **„Bibliografii Łodzi i województwa łódzkiego"**, stanowiący uzupełnienie bibliografii naszego regionu opracowanego przez W. W. Frontczaków (za lata 1945—70). Tom — obejmujący rok 1971 — zredagowali Andrzej Gawroński i Roman Kaczmarek, a benedyktyńską iście pracę zbieracką wykonały pracownice Działu Informacji i Bibliografii Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Waryńskiego (która całość wydała): Krystyna Mierzwianka, Zofia Napieraj i Danuta Bieńkowska. W najnowszej bibliografii znalazło się blisko 2400 pozycji książkowych, opracowań wydawnictw, artykułów prasowych itp.

✲

O dwa dalsze budynki znajdujące się w Rynku w Sieradzu wzbogaci się niebawem tutejsze **Muzeum Okręgowe**, mieszczące się dotychczas w najstarszej kamienicy Sieradza — przy ul. Dominikańskiej. Kosztem 28 milionów złotych planuje się przeprowadzenie kapitalnego remontu oraz adaptację wnętrz na potrzeby Muzeum. W części parterowej znajdą miejsce salon BWA, lub antykwariat i placówka „DESY". Na piętrze odtworzone zostaną wnętrza izb dawnych domów mieszczańskich, wyposażone w oryginalne, stare meble, przedmioty codziennego użytku oraz obrazy (powstanie galeria portretu staropolskiego).

✲

Kolejne nagrody artystyczne dla łodzian. Zebrali je łódzcy młodzi wokaliści-studenci Wydziału Wokalno-Aktorskiego PWSM. Na ogólnopolskim konkursie studentów — wokalistów we Włocławku I nagrodę przyznano **K. Leszczyńskiemu** z klasy **Wł. Malczewskiego**, a II — **J. Zakrzewskiemu** z klasy **T. Kopackiego**. W głosach żeńskich II nagroda przypadła **J. Bibel** — z klasy **Z. Krzywickiego**. W konkursie wzięło udział 20 śpiewaków.

✲

W Muzeum Ziemi Sochaczewskiej otwarta została interesująca **wystawa ludowych instrumentów muzycznych**, pochodzących ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Zgromadzono ok. 80 eksponatów, znanych głównie na Kurpiach i Kaszubach.

✲

Na dwie nowe wystawy zapraszają Biuro Wystaw Artystycznych w Łodzi i Związek Polskich Artystów Plastyków. W Ośrodku Propagandy Sztuki — **malarstwo Antoniego Fałata**, w ramach cyklu wystaw prezentujących artystów pokolenia 30—40. Natomiast w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 86 — **grafika Lucjana Mianowskiego**. Tę ostatnią wystawę zorganizowano z kolei w ramach cyklu wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej.

✲

W kawiarni „Renata" przy ul. Piotrkowskiej zainaugurowała działalność **Galeria Plastyki Amatorskiej**. Prezentowane tu będą prace plastyczne łódzkich „malarzy niedzielnych". Na początek — wystawa malarstwa **Mariana Matysiaka** z ŁDK. Inicjator ekspozycji — Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Łodzi zapowiada również otwartą galerię plastyków-debiutantów — w jednym z łódzkich zakładów gastronomicznych.

✲

Do ujawnienia autorstwa kilku ciekawych dzieł sztuki doprowadziła — prowadzona od dwóch lat przez łódzkie Pracownie Konserwacji Zabytków — restauracja zbiorów Działu Rzemiosła Artystycznego Muzeum Sztuki w Łodzi. Zbiory te znajdą miejsce w odnawianym właśnie pałacu Herbsta. W czasie prac konserwatorskich odkryto autorów komody w stylu empire (XIX w.) i konsolki z motywami renesansowymi (z podobnego okresu).

✲

10 kwietnia w Galerii Sztuki BWA odbywały się łódzkie eliminacje do XVI Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy o Sztuce 1979 (z zakresu historii sztuki powszechnej od romantyzmu do dzisiaj). Finały Turnieju odbędą się 20 kwietnia — w Bydgoszczy.

✲

Kwiecień dostarczył łódzkim kinomanom dwu interesujących imprez filmowych. W kolejnym przeglądzie „Iluzjonu" — w DKM — obejrzeli oni cykl filmów pt. **„Scenariusz napisało życie"** — inspirujących się tematami z gazet i policyjnych kronik... A w dniach od 17 do 23 kwietnia odbywać się będzie „Tydzień Krytyki Filmowej" — impreza od dwóch lat uzupełniająca doroczne „Konfrontacje".

✲

Zakończył się **V Ogólnopolski Przegląd Twórczości Filmowej Młodzieży Szkolnej**, odbywający się w Łodzi. Nagrodę główną — puchar ministra oświaty i wychowania przyznano **„Tryptykowi o pamięci" Jerzego Karcza z Zielonej Góry.** Przyznano również nagrodę za najlepszy film o tematyce dziecięcej oraz nagrody zespołowe.

Wśród 12 laureatów nagród indywidualnych znaleźli się również **łodzianie — reprezentanci AKF Młodzieżowego Domu Kultury na Bałutach i AKF „Klaps" przy Pałacu Młodzieży.**

✲

Nową formą teatru muzycznego na łódzkim gruncie jest grupa **Theatrum Antiquo Modo**, która zainaugurowała swoją działalność w początkach kwietnia programem pt. „Fatalie błazeńskie", opartym na muzyce i poezji baroku. Reżyserował Wł. Traczewski, oprawę muzyczną przygotował — K. Galant, równocześnie założyciel i kierownik zespołu.

✲

Od 2 do 3 kwietnia gościł w Łodzi **Teatr Lalek z Wałbrzycha.** Na scenie „Arlekina" zaprezentował on najmłodszym miłośnikom teatru widowisko pt. „Tajemniczy hipopotam"... W tym samym mniej więcej czasie odbył się w Łodzi jubileuszowy Festiwal Teatrzyków Zuchowych Hufca „Promieniści". Laureatem XX Festiwalu został zespół ze Szkoły Podstawowej nr 142 — za przedstawienie pt. „Przygody Rumcajsa". Warto dodać, że w eliminacjach do tej imprezy wzięło udział ponad 1500 bałuckich dzieci.

✲

W Toruniu zakończyły się finały **III Ogólnopolskiego Młodzieżowego Festiwalu Piosenki.** Wśród dziesięciu najlepszych znalazła się również łodzianka — **Joanna Zagdańska.** Natomiast w Opolu — podczas **X Giełdy Piosenki Studenckiej** — wyróżnienie otrzymał **zespół wokalny z PWSM w Łodzi.**

MIESIĄC PAMIĘCI NARODOWEJ

PUBLIKACJE O BOHATERSKICH POKOLENIACH

W całokształcie naszego dorobku edytorskiego trwałe miejsce zapewniły sobie liczne publikacje poświęcone heroicznym kartom walki Polaków o wyzwolenie narodowe i społeczne w latach 1939—1945. Sporą część tegorocznych propozycji edytorskich stanowią nowe wydawnictwa przypominające walkę i martyrologię narodu polskiego z niemieckim hitleryzmem. Są to — obok publikacji beletrystycznych — wspomnienia i pamiętniki, będące m. in. plonem licznych konkursów, monografie naukowe, wydawnictwa albumowe, przewodniki po miejscach walki i męczeństwa narodu polskiego w ponurych dniach okupacji.

Szczególnie wiele tytułów przygotowuje „Książka i Wiedza" — wydawca specjalizujący się w edycji prac społeczno-politycznych, z dziedziny najnowszej historii. W Bibliotece Pamięci Pokoleń, wydawanej pod auspicjami Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, ukaże się m. in. **książka Reginy Domańskiej „Pawiak"** — przedstawiająca to miejsce zagłady w okresie okupacji hitlerowskiej oraz omawiająca warunki życia więźniów i aktywną tu działalność konspiracyjną. W tym samym cyklu wydana zostanie **praca Mieczysława Juchniewicza i Heleny Malanowskiej „Gdzie był wróg, tam walczyli Polacy"**, zawierająca sylwetki ludzi działających w europejskim ruchu oporu w latach II wojny światowej. **Kazimierz Kaczmarek** przygotowuje do druku, właśnie w „Książce i Wiedzy", publikację **„Polacy w szturmie Berlina"** a **Marian Krwawicz — „Śląska Reduta 1939"**, książkę poświęconą bohaterskim walkom żołnierzy polskich i ludności cywilnej w obronie ziemi śląskiej w pierwszym okresie II wojny światowej. **W pracy — „Działania ruchu oporu w Polsce 1939—1945" Waldemar Tuszyński naświetla genezę, rozwój i działania głównych nurtów polskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej.**

Warto też zwrócić uwagę na zapowiadaną przez „KiW" książkę **Haydeckera i Leeba** tłumaczoną z języka niemieckiego pt. **„Bilans tysiąca lat. Historia III Rzeszy w świetle procesu norymberskiego".** Autorzy, na podstawie materiałów z procesów przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim (Heydecker był sprawozdawcą radiowym na procesie norymberskim opisują m. in. hitlerowski najazd na Polskę, system terroru i bestialstwo na terenach okupowanych oraz poszukiwania zbrodniarzy hitlerowskich.

Doktrynę wojenną Polski w latach trzydziestych i przyczyny klęski wrześniowej omówi w **pracy historycznej „U kresu II Rzeczypospolitej" Tadeusz Jurga.** Ukaże się także II tom książki **Tadeusza Kisielewskiego „Heroizm i kompromis"** poświęcony m. in. udziałowi czołowych działaczy ludowych w walkach z okupantem hitlerowskim. „Książka i Wiedza" sygnalizuje też ukazanie się pracy **Ryszarda Nazarewicza „Koncepcje walki z okupantem i ich treści polityczne 1939—1945".** Przygotowania Polaków do obrony w rejonie Mławy i przebieg walk 20 dywizji Piechoty we wrześniu 1939 r. ukaże **praca Ryszarda Juszkiewicza „Bitwa pod Mławą w 1939 r."**

W dziale „Literatury Pięknej" zwracają uwagę wznowienia książek **Haliny Auderskiej „Babie lato"** i **„Ptasi gościniec"** poświęcone losom żołnierzy I armii WP, oraz książki **Zbigniewa Domino „Wicher szalejący"** ukazujący dzieje walk partyzanckich na Rzeszowszczyźnie.

Z nowych powieści ukaże się książka **Jana Łysakowskiego „Kontra"** oraz **„Wspomnienia" Juliana Tokarskiego i „Wspomnienia" Jana Trusza** — b. działaczy KPP, uczestników walk z hitleryzmem.

Krajowa Agencja Wydawnicza przygotowuje w ramach serii tek z faksymiliami oryginalnych dokumentów historycznych, publikację **„Udział Polaków w zwycięstwie nad faszyzmem 1939—1945".** Znajdą się tu autentyczne świadectwa z lat wojny, zbrodniczych działań hitlerowskiego okupanta, kopie obwieszczeń o publicznych egzekucjach, wzory kartek na głodowe przydziały żywnościowe, zaświadczenia o katorżniczej pracy nieletnich, grypsy więźniów Pawiaka z wykazami osób rozstrzelanych i wywiezionych do obozów zagłady, dokumenty walki zbrojnej i cywilnego ruchu oporu. W serii „Nasza Ojczyzna — Polska Ludowa", wydawanej wspólnie przez „Książkę i Wiedzę" oraz Krajową Agencję Wydawniczą, ukażą się m. in. praca **Wojciecha Kozłowskiego „Powtórka ze zwycięstwa** i **Wiesława Rogowskiego „Słowo i trwanie".**

Udział postępowej młodzieży polskiej w walce z okupantem ukaże natomiast zbiór **„Wspomnień ZWM-owców"** przygotowywany przez „Książkę i Wiedzę". Refleksje związane z 40 rocznicą napaści hitleryzmu niemieckiego na Polskę oraz losami najmłodszych ofiar brunatnych zbirów przedstawiają: publikacja **Zdzisława Tokarza „Dzieci Zamojszczyzny"** — przypominająca jeden z bezprzykładnych w dziejach ludzkości tragiczny rozdział II wojny światowej, a także praca zbiorowa **„Cień mojej młodości"** przygotowywana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą. Ta ostatnia publikacja będzie plonem konkursu zorganizowanego przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce oraz redakcję „Zielonego Sztandaru".

W Młodzieżowej Agencji Wydawniczej przygotowywana jest edycja, zebranych przez **Danutę Brzosko-Mędryk** wspomnień harcerek z drużyny „Mury" zorganizowanej i działającej w obozie koncentracyjnym w Ravensbrueck.

Niebawem powinny ukazać się: książka **Włodzimierza Jastrzebskiego i Jana Szylinga** pt. **„Okupacja hitlerowska na Pomorzu Gdańskim 1939—1945"** oraz praca **Czesława Łuczaka „Polityka ludnościowa i ekonomiczna hitlerowskich Niemiec w okupowanej Polsce"**, która przygotowuje Wydawnictwo Poznańskie. Pierwszą tego typu w polskiej historiografii próba syntetycznego ujęcia dziejów obszarów, które w latach okupacji hitlerowskiej odegrały specyficzną i znaczną rolę, będzie książka **Zygmunta Mańkowskiego „Między Wisłą a Bugiem".** W Instytucie Zachodnim ukaże się natomiast syntetyczna praca **Jerzego Marczewskiego „Hitlerowska koncepcja polityki kolonizacyjno-wysiedleńczej i jej realizacja na terenie „Kraju Warty".**

Fundamentalną rolę powinna spełnić przygotowywana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe publikacja. **„Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939—1945. Informator encyklopedyczny".** Zawierać ona będzie wykaz alfabetyczny miejscowości, w których istniały hitlerowskie obozy koncentracyjne, obozy jenieckie, obozy pracy, obozy przejściowe, więzienia i areszty oraz getta. Każde z tych miejsc zostało szeroko omówione i udokumentowane. Informator oparty jest na materiałach źródłowych i stanowi wynik długoletniej pracy Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa.

V OPOLSKIE KONFRONTACJE

Z krajowych festiwali, a jest ich niemało, ten jeden — Opolskie Konfrontacje Teatralne, poświęcone rodzimej klasyce, wydaje się mieć jasną i słuszną formułę oraz, jeśli tak można powiedzieć, jest dobrze osadzony. Budynek teatru opolskiego jest bowiem największym, najwygodniejszym i najnowocześniejszym z gmachów teatrów dramatycznych w Polsce.

Niezwykłej urody nadodrzańskie miasto udowodniło że potrafi okazać wielką gościnność nie tylko uczestnikom festiwalu piosenki, ale również miłośnikom teatru. A jest ich w Opolu sporo. Świadczyło o tym olbrzymie zainteresowanie publiczności. Naturalne i zrozumiałe, że wszelkie odświętne przeglądy ściągają na siebie większą uwagę niż teatralna powszedniość, jednak rozmiary owego zainteresowania daleko wykraczały poza obserwowane zazwyczaj festiwalowe zaciekawienie.

Wydaje mi się, że chłonność opolskiej publiczności, złożonej w przeważającej części z młodzieży akademickiej i szkolnej, stanowi wystarczający — a nie wiem czy nie jedyny — argument przemawiający za słusznością organizowania w Opolu kolejnych Konfrontacji. Jedyny, ponieważ oprócz widzów, imprezą tą mogłyby i powinny być zainteresowane jeszcze dwie strony — teatry i krytyka.

O zainteresowaniu teatrów mówić bardzo trudno z dwóch względów: po pierwsze, to nie od nich w stopniu decydującym zależy uczestnictwo w Konfrontaciach, spektakle są bowiem kwalifikowane przez enigmatyczną komisję, zaś po drugie — zespoły przyjeżdżają w dniu poprzedzającym występ i natychmiast wyjeżdżają, ich członkowie nie mają zatem okazji do porównań własnych doświadczeń z pracą swoich kolegów z innych ośrodków. W najlepszym razie festiwal obserwują niektórzy reżyserzy i dyrektorzy. Trochę to mało.

O zainteresowaniu krytyki mówić jeszcze trudniej, ponieważ krytycy, wyjąwszy miejscowych recenzentów, są właściwie w Opolu nieobecni. Chyba, że... dobrze przyjrzymy się składowi jury. Stwierdzimy wówczas, że trzy spośród sześciu osób reprezentują prasę i to w dwóch przypadkach fachową.

Jeśli jednak będziemy pamiętać, że teatr istnieje nie dla teatru i nie dla krytyki ale dla publiczności, to, jak już wspomniałam, V Opolskie Konfrontacje Teatralne były przeglądem nie tylko udanym, ale szalenie potrzebnym. Przeglądem, który widzom udowodnił, że z naszym teatrem nie jest wcale tak źle, jak zwykło się ostatnio coraz częściej mawiać, zaś teatrowi pokazał, że wcale nie musi być skazany na puste sale, bądź w najlepszym razie na „widza organizowanego" dowożonego na spektakl autokarem marki „Jelcz".

W tegorocznych Konfrontacjach wzięło udział czternaście zespołów, które pokazały piętnaście przedstawień (z dwoma spektaklami wystąpili gospodarze). Dwa teatry zaprezentowały się poza konkursem. Był to **wrocławski Teatr Współczesny z music-hallową inscenizacją „Szewców" Witkacego**, wystawioną w jednej z opolskich kawiarni oraz **„Odprawa posłów greckich" przywieziona przez poznański Teatr Lalki i Aktora**, grana na poły przez marionety, na poły przez aktorów.

Skoro już mowa o imprezach towarzyszących, nie sposób przemilczeć interesującej sesji naukowej, poświęconej rozważaniom na temat związków łączących współczesność z polską klasyką teatralną. Referaty wygłosili pracownicy naukowi Uniwersytetu Wrocławskiego i Warszawskiego. Warto też wspomnieć o licznych spotkaniach znanych aktorów z mieszkańcami Opola.

Wróćmy jednak do konkursowego przeglądu. Wśród zaproszonych zespołów przeważały teatry z dużych ośrodków. Miasta monoteatralne reprezentowane były jedynie przez zespoły: bydgoski jeleniogórski, kielecki i opolski. Najpopularniejszym dramaturgiem okazał się w tym roku **Słowacki** (cztery spektakle). Drugie miejsce zajęli ex aequo **Fredro i Wyspiański** (po trzy spektakle). Drugi poza Słowackim z trzech wieszczów, **Krasiński** reprezentowany był najnowszą inscenizacją „Nie-Boskiej Komedii" przygotowaną we **wrocławskim Teatrze Polskim przez Jerzego Grzegorzewskiego.** Dwa spektakle zmieściły się w programie OKT, choć mogłyby być z powodzeniem włączone do repertuaru festiwalu sztuk współczesnych, bowiem osnute były na tekstach **Witkacego** („Jan Karol Maciej Wścieklica" teatru opolskiego w reżyserii Jerzego Golińskiego, który zagrał również tytułową rolę) i **Gombrowicza** („Iwona księżniczka Burgunda" teatru jeleniogórskiego w reżyserii młodego, utalentowanego absolwenta krakowskiej PWST, Mikołaja Grabowskiego). I wreszcie dwa przedstawienia, które wyrosły z tekstów adaptowanych — **kielecka „Róża" i krakowski maraton teatralny autorstwa Joanny Olczak-Ronikier „Z biegiem lat, z biegiem dni".**

Włączenie cieszącej się dobrym zdrowiem autorki do festiwalu poświęconego klasyce na pierwszy rzut oka wydawać się powinno kolosalnym nieporozumieniem, bądź w najlepszym razie nielichym żarcikiem. Ale „omsknięcie" to jedynie pozorne, bowiem spektakl Starego Teatru w reżyserii Andrzeja Wajdy i Anny Polony utkany został z obszernych fragmentów utworów Bałuckiego, Kadena — Bandrowskiego, Dąbrowskiej, Kaweckiego, Kisielewskiego, Przybyszewskiego, Struga, Zapolskiej, Boya-Żeleńskiego, o czym zresztą powszechnie wiadomo.

Pisarze ci, jeśli nawet nie wszyscy stali się klasykami naszej literatury to przynajmniej zasłużyli na trwałą pamięć a Olczak-Ronikierowa i twórcy przedstawienia w pełni udowodnili ich żywotność dla obecnego pokolenia. Niesłabnący sukces owego, granego od roku, spektaklu każe z nadzieją i ufnością patrzeć w przyszłość polskiego teatru. Jeśli bowiem aktorów nie nuży przebywanie przez ponad siedem godzin na scenie, a widzom warto przez te same siedem godzin ponosić trudy stania czy siedzenia na podłodze (bardzo liczne grupy dzięki znakomitej wprost pracy organizatorów widowni Teatru Kochanowskiego, którym należą się słowa prawdziwego uznania, oglądały spektakle nie mając zapewnionych miejsc siedzących), to

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDAN MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, ANDEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI

PRZEZ ŁÓDŹ BEZ MANDATU...

Dalszy ciąg ze str. 1

ją społeczeństwo i organa odpowiedzialne za stan bezpieczeństwa i porządku w ruchu. Rozwój transportu samochodowego i stały wzrost ilości prywatnych użytkowników pojazdów w naszym kraju, przy niewspółmiernie niskiej kulturze motoryzacyjnej znacznej części użytkowników dróg wymaga szczególnego nadzoru ze strony organów MO i czynnika społecznego.

Wykonywanie obowiązków związanych z zapewnieniem porządku i bezpieczeństwa na drogach powierzono przede wszystkim Służbie Ruchu Drogowego MO, która ma odpowiednio przeszkoloną kadrę, wyposażoną w nowoczesny sprzęt pomiarowo-kontrolny, ułatwiający realizację nałożonych zadań. Taki system nadzoru nad ruchem drogowym jest ogólnie przyjęty w większości krajów świata.

— Utarła się opinia kierujących pojazdami samochodowymi, że Łódź jest miastem „trudnym", że lepiej nadłożyć parę dziesiątków kilometrów drogi niżli zapuszczać się w gąszcz łódzkich ulic. Mówi się, że nasze miasto jest nie najlepiej oznakowane, że często trudno z niego wyjechać. Jaki w związku z tym jest udział milicji w porządkowaniu ruchu drogowego?

— Istotnie, układ komunikacyjny naszego miasta niezupełnie odpowiada współczesnym wymogom ruchu. Łódź i województwo to obszar najbardziej zurbanizowany, gdzie średnia gęstość zaludnienia wynosi 706 osób na 1 kilometr kwadratowy. Sieć dróg samochodowych międzynarodowych i regionalnych jest stosunkowo dobra, ale nie odpowiada nadal natężeniu ruchu osobowego i towarowego. Opinia, że Łódź jest miastem „trudnym", jest chyba jednak refleksją z lat ubiegłych.

W ostatnim czasie wiele się pod tym względem zmieniło. Przede wszystkim należy rozróżnić przejazd przez miasto w tzw. ruchu tranzytowym od poruszania się w samym mieście. W pierwszym przypadku ruch odbywa się dwoma ciągami komunikacyjnymi o charakterze międzynarodowym, tzn. trasą E-16 i E-12. Na terenie miasta ulice te są drogami nowoczesnymi, wielopasmowymi, o podwyższonej dopuszczalnej prędkości jazdy. Wiele ważniejszych skrzyżowań ma wielofazową sygnalizację świetlną, a na niektórych odcinkach skoordynowaną liniowo. Ponadto dokonano rozdziału ruchu kołowego od pieszego poprzez zainstalowanie barier ochronnych, siatek odgradzających i przejść bezkolizyjnych.

Oznakowanie poziome i pionowe jest pełne, czytelne i nowoczesne, a dodatkowe oznakowanie bramowe na głównych węzłach komunikacyjnych pozwala bezbłędnie obrać kierunek jazdy.

Budowa dróg szybkiego ruchu na kierunku wschód-zachód i północ-południe oraz połączenie ich w przyszłości autostradami oplatającymi miasto, pozwoli dalej usprawniać przejazd przez nasze województwo.

Jeżeli chodzi o poruszanie się w samym mieście, a w szczególności w dzielnicy śródmiejskiej, to dla kierującego, który nie zna układu drogowego, stanowi ono istotnie pewną trudność. W warunkach miasta, w którym przeważają ulice o przemieszanych funkcjach, niskich parametrach ruchowych, dużej ilości skrzyżowań i gęstej zabudowie, intensywne ich wykorzystanie powoduje spadek prędkości komunikacyjnej, częste powstawanie tzw. korków i blokowanie ruchu. Od roku 1970 władze miasta poczyniły wiele, inwestując w budowę i przebudowę dróg oraz urządzeń ostrzegawczo-zabezpieczających ruch.

Ostatnio oddano do użytku przebudowaną ulicę Przybyszewskiego wraz z wiaduktem kolejowym, ulicę Główną — Mickiewicza z czterema przejściami podziemnymi dla pieszych, zmodernizowany węzeł ul. Żeromskiego — Mickiewicza oraz wiele innych ulic na nowo wybudowanych osiedlach mieszkaniowych.

W celu dalszego usprawnienia ruchu w centrum miasta wprowadzono nową organizację ruchu, która wyznaczyła jednoznacznie ulice, po których winien odbywać się ruch pojazdów ciężarowych.

Jak wiadomo, wszelkiego rodzaju modernizacje układu drogowego prowadzone w warunkach wielkomiejskich są drogie i pracochłonne, przez co cykl ich budowy jest stosunkowo długi. Mimo to nasze województwo, jako jedno z pierwszych, przeprowadziło modernizację oznakowania pionowego na 58 km dróg publicznych. W bieżącym roku przystąpiono do przygotowań do dalszej modernizacji oznakowania na 179 km dróg. We wszystkich tych poczynaniach bierze udział milicja, poprzez uczestniczenie w posiedzeniach zespołów instytucji, urzędów i biur, w gestii których leży przebudowa, budowa czy zmiany organizacji ruchu drogowego.

— Bezpieczny ruch na drogach — to zmniejszona ilość wypadków. Jednakże winę za wypadek nie zawsze ponosi kierowca. Czy MO podejmuje jakieś działania zmierzające do uczulenia przechodniów, na to, co się dzieje na drogach?

— Oczywiście. I to sporo. O bezpieczeństwie w ruchu drogowym decydują trzy elementy: człowiek — pojazd — droga. Od kierowcy pojazdu czy pieszego, ich predyspozycji psychofizycznych, wyobraźni, kultury zachowania się na drogach, zależy w decydującym stopniu uniknięcie sytuacji, która by mogła doprowadzić do wypadku drogowego.

Poważny problem stanowi kierowanie pojazdami pod wpływem alkoholu. Jest to zjawisko potencjalnie niebezpieczne, toteż organa MO z całą stanowczością zwalczają jego wszelkie przejawy. I tak np. w roku ubiegłym wyłączono z ruchu około 2.500 kierowców zanim spowodowali groźny wypadek lub kolizję drogową.

Ale poważne zagrożenie w ruchu drogowym stanowią także osoby piesze, czego przykładem może być ich duży udział w wypadkach drogowych (około 42 proc.) Co czwarta z pieszych osób, winnych spowodowania wypadku, była pod wpływem alkoholu.

W celu poprawy dyscypliny pieszych organa MO, przy udziale czynnika społecznego, przeprowadzają liczne operacje i działania zmierzające do zapewnienia właściwej koegzystencji pieszych i kierujących. W związku z tym w ramach oddziaływania profilaktycznego m. in. powiadamia się o popełnionych wykroczeniach zakłady pracy, szkoły, rodziców oraz przeprowadza się systematyczne spotkania w jednostkach MO z osobami naruszającymi przepisy ruchu drogowego; wyjaśnia się im zasady bezpiecznego poruszania się po drogach.

W stosunku do pieszych naruszających w sposób lekceważący przepisy ruchu drogowego stosuje się mandaty karne, a w odniesieniu do pieszych będących pod wpływem alkoholu sporządza się wnioski o ukaranie, kierowane do Kolegium d/s Wykroczeń.

— Wspomnieliśmy o wypadkach i niektórych ich przyczynach. Powszechnie wiadomo, że przyczyna wielu wypadków jest także zły stan techniczny pojazdów. Dotyczy to zwłaszcza pojazdów należących do przedsiębiorstw i instytucji.

— Istotnie, zły stan techniczny pojazdu powoduje duże zagrożenie bezpieczeństwa w ruchu drogowym. Jakkolwiek udział procentowy niesprawnego technicznie pojazdu, jako przyczyny wypadku, jest niewielki, to jednak organa MO w swojej codziennej działalności poświęcają dużo uwagi temu problemowi.

By nie dopuścić do eksploatowania na drogach publicznych pojazdów z usterkami technicznymi, organa MO przeprowadzają kontrole przed bazami transportowymi, eliminując z ruchu pojazdy niesprawne. Takie same działania prowadzone są w codziennej służbie, a w wypadku stwierdzenia poważnych usterek technicznych wyłącza się pojazd z ruchu poprzez zatrzymanie dowodu rejestracyjnego. Drobne usterki techniczne usuwane są na miejscu, niejednokrotnie przy pomocy naszych funkcjonariuszy. Specjalistyczne ogniwa służby ruchu drogowego przy kontroli stanu technicznego pojazdu posługują się nowoczesnymi urządzeniami pomiarowo-kontrolnymi. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, kontroli tej poddawane są także pojazdy jednostek gospodarki uspołecznionej jak i indywidualnych użytkowników dróg.

— Skoro mówimy o współpracy, to chcielibyśmy się dowiedzieć o udziale MO w organizacjach i zrzeszeniach związanych z motoryzacją.

— Zdajemy sobie sprawę, że prowadzenie działań przez poszczególne instytucje bez współdziałania między nimi nie może przynieść spodziewanych efektów w poprawie bezpieczeństwa ruchu drogowego. Mamy od lat wypróbowane formy współdziałania z różnymi instytucjami, a w szczególności z Wydziałem Komunikacji Urzędu m. Łodzi, z Kuratorium Oświaty i Wychowania, ZSMP, ZHP, TPD, PZMot., Ligą

Foto: Archiwum

Obrony Kraju, Automobilklubem Łódzkim, Towarzystwem Trzeźwości Transportowców i in.

Nasze współdziałanie z wyżej wym. instytucjami i organizacjami w dużej mierze wspomagane jest przez grupy specjalistyczne ORMO d/s ruchu drogowego.

— Tegoroczna zima dokuczyła nie tylko służbom drogowym, ale i właścicielom samochodów. Interesuje nas przeto pańska ocena — zarówno pracy drogowców, jak i dyscypliny kierujących pojazdami na drogach publicznych. Czy tego rodzaju sytuacja może okazać się sprawdzianem i egzaminem dla jednych i drugich? I czy istotnie zdaliśmy ten egzamin?

— Tegoroczna zima była szczególnie dokuczliwa, naszym zadaniem było utrzymanie płynności ruchu na najważniejszych trasach przelotowych, po których poruszał się transport ciężarowy, ważny z punktu widzenia gospodarki narodowej. Wszystkie nasze siły i środki, a szczególnie środki łączności, były wykorzystywane w akcji zimowej (m. in. niesienie pomocy służbie zdrowia itp.). Mimo okresowo występujących trudności na niektórych drogach (trasa E-16 pod Tuszynem, E-12 na odcinku Stryków — Głowno), dzięki ofiarnej pomocy kierowców, mogliśmy skutecznie sterować ruchem i utrzymać stałą przejezdność dróg.

Należy podkreślić, że służby odpowiedzialne za utrzymanie dróg w naszym województwie w stanie przejezdności, mimo pewnych braków w ciężkim sprzęcie służącym do odśnieżania, zdały egzamin. Należy także przyznać, że zachowanie kierowców w tych trudnych warunkach zasługuje na pochwałę. Kroniki milicyjne nie odnotowały w tym okresie wzrostu kolizji drogowych i wypadków. Apel skierowany do właścicieli prywatnych pojazdów o ograniczeniu eksploatacji pojazdów, spotkał się z pełnym zrozumieniem.

— Ostatnie nasze pytanie dotyczy okresu wiosenno-letniego, kiedy to na drogi wyjeżdżają tzw. kierowcy niedzielni. Jak łódzka MO jest przygotowana do wzmożonego ruchu samochodowego?

— Tak, jak co roku, okres wiosenny zwiększa natężenie ruchu drogowego. Na drogi i ulice wyjeżdżają rowerzyści, motorowerzyści, motocykliści i wszyscy, ci, którzy w okresie zimy nie korzystali z własnych pojazdów. Paromiesięczny okres przerwy powoduje występowanie pewnych braków w technice jazdy. Chcąc więc jechać, należy to czynić z wielką rozwagą, mając na względzie to, że natężenie ruchu będzie wciąż rosło, a na drogach i ulicach pojawią się również najmłodsi i niedoświadczeni użytkownicy dróg. Odnotowujemy w tym okresie wzrost kolizji drogowych, co świadczy o niezachowaniu przez kierujących maksymalnych środków ostrożności.

By temu zapobiec, organa MO, przy współudziale czynnika społecznego, podejmują szerokie działania w zakresie porządkowania ruchu pieszego i kołowego, celem zapewnienia bezpieczeństwa i płynności w ruchu drogowym. A każda inicjatywa na rzecz poprawy bezpieczeństwa w ruchu drogowym podejmowana przez organizacje społeczne, zainteresowane instytucje, środki masowego przekazu, a w szczególności przez prasę, pomaga nam w codziennej pracy i jest przyjmowana z dużym uznaniem.

— Dziękujemy za interesującą rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

AKTUALNOŚCI

TEATRALNE

chyba można jeszcze mówić o teatrze jako miejscu rozmowy o człowieku i świecie. „Z biegiem lat, z biegiem dni" należy do tych przedstawień, które raz obejrzane zapadają na zawsze w pamięć.

Takim dziełem sztuki scenicznej jest również **„Noc listopadowa" Macieja Prusa** ze scenografią Sławomira Dębosza i kostiumami Ireny Biegańskiej, wspaniała muzyką Jerzego Satanowskiego. Sięgnięcie po ów tekst Wyspiańskiego po wcześniejszej inscenizacji Wajdy w Starym Teatrze i teatrze telewizji, stawiało przed następnym reżyserem wysoką poprzeczkę, tak bowiem mocno utrwaliło się to przedstawienie w świadomości widzów. Prus, wychodząc niejako od głośnej książeczki T. Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?", wertując raz jeszcze dokumenty z okresu powstania listopadowego, dał artystycznie wstrząsający obraz listopadowego wieczoru, zadziwiająco zgodny z ideą dramatu Wyspiańskiego, choć znacznie okrojony nie tylko z tekstu, ale i z postaci (brak w tym spektaklu np. Joanny). Warszawski Teatr Dramatyczny zagrał „Noc" 26 marca, kiedy to w Opolu odbywały się centralne uroczystości związane z Międzynarodowym Dniem Teatru. Trudno doprawdy o lepsze uczczenie tego święta.

Trzecim wydarzeniem Konfrontacji stała się **przywieziona z Warszawy przez Teatr Powszechny „Zemsta" w reżyserii Zygmunta Hübnera.** Do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy zespół ten wystąpi, bowiem kilka dni wcześniej grający Cześnika Pawlik uległ wypadkowi. Chodziły słuchy o dublerze, ale na szczęście wszystko pomyślnie się skończyło i w wyznaczonym terminie z torsem i lewą ręką w gipsie pojawił się na Małej Scenie Teatru Kochanowskiego w zarzuconym z fantazją sztruksowym szlafroku sam Bronisław Pawlik. Aktor ten dopisał własne nazwisko do weale pokaźnej grupy swoich kolegów, którzy dali dowód, iż wyżej cenią zawód niż siebie, którym niespotykane gdzie indziej poczucie odpowiedzialności kazało zapominać o własnym dramacie.

Pawlik zupełnie nie korzystał z taryfy ulgowej, co by mu się zresztą całkiem słusznie należało. Grał brawurowo, umiejętnie wykorzystując tajniki warsztatu do zniwelowania własnej niedyspozycji. W rezultacie stworzył Cześnika tak żywotnego, operującego takim rozmachem, że niejeden zdrowy aktor w połowie by mu nie dorównał.

Cześnik Pawlika nie jest bynajmniej dominującą postacią w spektaklu Hübnera. Ten sam poziom aktorskiego przygotowania i talentu wykazuje Anna Seniuk jako Podstolina, Joanna Żółkowska grająca Klarę, Władysław Kowalski będący Rejentem, Wojciech Pszoniak przedzierzgnięty w tragikomicznie nieszczęśliwego Papkina i Andrzej Wasilewicz występujący jako jurny pretendent do ręki Klary. Niezwykle rzadko zdarza się w teatrze oglądać brylanty jednakowej wielkości i o takim samym szlifie, które ułożone obok siebie zlewają się w monolit, choć barwy blasku, jaki od nich bije, mienią się różnymi odcieniami. W Hübnerowskiej „Zemście" zdarzyło się.

Przedstawienie to dostało największą liczbę nagród aktorskich (cztery i jedno wyróżnienie). Trudno mi w tym miejscu przemilczeć fakt nie nagrodzenia Andrzeja Wasilewicza za rolę Wacława, który pokazał, że młodzieniec ten wcale nie jest mdły, nijaki, wzdychający, jakiś tam niepozorny pionek w walce o mur graniczny, ale że ma swoje plany, temperament, siłę perswazji, zwłaszcza w dialogach z Podstoliną. Wydaje mi się, że to istotne przeoczenie dość mocno waży na na ogół przemyślanym i obiektywnym werdykcie jury.

Skoro już mowa o ocenie jurorów, warto podkreślić, że największa liczba nagród przypadła w tym roku aktorom (dwanaście nagród i trzy wyróżnienia). Reżyserzy i kompozytorzy zebrali po trzy nagrody, zaś za scenografię nagrodzono tylko Dębosza. Żałować trzeba, że nie starczyło nagród dla Krystyny Zachwatowicz i Kazimierza Wiśniaka za wielkiej urody oprawę plastyczną, która dzięki swej niesłychanej funkcjonalności przyczyniła się do sukcesu „Z biegiem lat". Wydaje się, że taki podział nagród, jakiego dokonano w Opolu, świadczy o przeobrażeniach w teatrze. Po okresie wszechwładzy inscenizatorów mamy nawrót do epoki aktorów, z czego wypada się cieszyć.

Tegoroczne OKT dały niezły obraz obecnego stanu naszego teatru. Okazało się, że dzieła wybitne sąsiadują ze skandalami, miernota przemieszana jest z solidną robotą teatralną. O arcydziełach mówiłam wyżej, natomiast gdy idzie o przykład przedstawienia kompromitującego nie tylko jego twórców i wykonawców, ale również osoby kwalifikujące ten spektakl do przeglądu ogólnopolskiego, pozostanę przy **„Kordianie" Teatru Polskiego w Poznaniu w insc. i reż. Romana Kordzińskiego,** ze scen. Henryka Regimowicza, muz. Ryszarda Gardy. Autorzy poznańskiego „Kordiana" postanowili ów narodowy dramat odczytać „na nowo" i uatrakcyjnić ile wlezie. Stąd przedziwny układ tekstu, który, niestety niczym się nie tłumaczy i wykorzystywanie technicznych możliwości teatru daleko ponad miarę, np. zapadni do wydobywania z niej szlachetnych acz cierpiących dusz, czy lin do zawieszenia w przestworzach Archanioła, któremu dla lepszego efektu włożono w usta pieśń szatańską. Artystyczny rezultat tego przedstawienia, a ściślej jego brak, nie wynika wyłącznie z nieudolności autorów, ale — co jest już niewybaczalne — z bezkarnego szargania jednego z największych dzieł naszej literatury narodowej.

Za egzemplifikację miernoty posłużyć może **„Wesele" katowickiego teatru w reżyserii Michała Pawlickiego.** Poddanie konfrontacji spektaklu, który jest oczywistym regresem, i to znacznym, w stosunku do pokazanego w ubiegłym roku w Opolu wstrząsającego „Wesela" Grzegorzewskiego jest według mnie aktem nie najlepiej ulokowanej odwagi.

Przykładem solidnej roboty teatralnej, acz nie pozbawionym drobnych błędów, był spektakl **Bogdana Hussakowskiego „Gwałtu co się dzieje" czy wspomniany już „Wścieklica".** Rzetelnym, czystym teatralnie przedstawieniem jest również **„Mazepa" w reżyserii Krystyny Skuszanki** z interesującymi rozwiązaniami przestrzenno-plastycznymi Władysława Wigury krakowskiego Teatru im. Słowackiego. Interesująca była również „Nie-Boska" którą Grzegorzewski zaświadczył, iż jest nadal konsekwentny w swojej twórczej działalności i nie wychodzi poza dawno przyjętą poetykę teatralną.

Godzi się jeszcze wspomnieć o udziale łodzian. Przywieźli oni „Spisek koronacyjny" czyli „Kordiana". W zestawieniu z poznańską inscenizacją przedstawienie Maciejowskiego wychodzi obronną ręką, acz jego koncepcja dostarcza z pewnością wielu okazji do polemik. Jednakże jest to spektakl, z którym można dyskutować. Grany na przyzwoitym poziomie, z kilkoma rolami, które wyrastają ponad przeciętność, zwłaszcza nagrodzona rola Wielkiego Księcia w wykonaniu Wirgiliusza Grynia. Muzykę skomponował Piotr Hertel, który otrzymał wyróżnienie.

Kończąc snucie refleksji, zdziwić się jeszcze wypada, że w programie V Opolskich Konfrontacji Teatralnych zabrakło „Dziadów" Mickiewicza. A przecież ten arcydramat znajduje się w bieżącym repertuarze kilku teatrów, w tym dwóch warszawskich.

GRAŻYNA KOMPEL

ANDRZEJ MAKOWIECKI

SWING W SZTOKHOLMIE

Przyjechał z Polski gość w brązowym kożuchu, a oni wyszli po niego na przystań. Perkusista był niski i szupły, saksofonista przypominał Pendereckiego, bo miał krótką, rudą brodę. Przywitali się z tym gościem tak, jakby pożegnali się dopiero przedwczoraj i perkusista zaczął od razu robić show wymachując urojonymi pałkami i śpiewając, że to niby gra na kongach: dżing, bang, bung, tidi-dik, ka-ka. Potem zrobili sobie parę zdjęć na tle promu, który przyholował tego gościa z Polski i wsiedli do wielkiego, czarnego adilaka, aby pokołować trochę uliczkami Nynäshamn.

Kiedy wydostali się na drogę do Sztokholmu, powstał problem śniadania. Można zjeść w barze, ale można także odwiedzić Kajtka. Tylko że Kajtek grał na pewno w nocy i teraz, o jedenastej rano, musi być strasznie ściochrany. Popelina wtarabanić się komuś do mieszkania o tak wczesnej porze. No i Kajtek miał kiedyś do tego z Polski drobny uraz o Niedźwiedzia.

— Może mnie puknąć drzwiami — powiedział ten z Polski, który swego czasu był trębaczem i umiał wyrazić się wdzięcznie.

— To ja najpierw wejdę sam, zbadam sprawę.

To mówiąc, pauker opuścił samochód i zapukał do drzwi domu na przedmieściach szwedzkiej stolicy. W chwilę później wrócił.

— Obudziłem go — zameldował.

— Zły?

— Nie. Możemy wjeżdżać.

Gospodarz, który był jeszcze w szlafroku, posadził ich na kanapie, podał kawę, pieczywo i wędlinę, wyciągając przy okazji z szafki butelkę.

— Przelecisz jednego? — zwrócił się do tego z Polski.

Gość skinął głową.

Kończyli akurat pierwszą kolejkę, kiedy zadzwonił telefon.

Kajtek podniósł słuchawkę.

— A, to ty, Fred — powiedział wesoło. — Wpadnij! Zdziwisz się, kogo mamy.

Fred, który podobnie jak Kajtek i ten Penderecki z bródką grał na saksofonie, był kiedyś cynglem u Kurylewicza; robił tam najlepsze solówki. Wchodząc znieruchomiał na moment w progu, po czym uściskał gościa, zasypując przepaść 20 lat odkąd się nie widzieli, stawiając razem pierwsze kroki na wyboistym łódzkim bruku jazzowym. Wszyscy oni zresztą, w pięciu, i jeszcze kilkunastu innych, grali kiedyś ze sobą, przyjaźniąc się na zmianę i kłócąc, tworząc zespoły, które rozpadały się wcześniej czy później, albo wymieniały muzyków w zależności od tego, który był akurat lepszy. Były to czasy biedne i jednocześnie piękne: swing dzwonił w salach koncertowych i klubach, na zabawach fabrycznych i wieczorkach szkolnych. U filmowców na Targowej, wśród których roiło się wtedy od dzisiejszych sław, trwały całonocne jamy przy czym nikt nie wyciągał ręki po pieniądze.

Nie oszczędzało się wtedy, nie odkładało na samochód, knajpy wrzały, życie towarzyskie kwitło od rana do północy. Teraz natomiast... taaa... wszyscy gonią za forsą — wy tam w kraju, my tu na obczyźnie.

— Michał Urbaniak — zwierza się Kajtek, który sam również jest wziętym muzykiem (te dziewuchy z Abby całują go na powitanie, a w nocnych lokalach Sztokholmu szatniarze kłaniają mu się od progu). — Wiesz!... — zwierza się Kajtek temu, co przyjechał z Polski — Michał jest w Nowym Jorku szefem kapeli ma tych najlepszych albo prawie najlepszych, tyle, że wiesz... trzeba im płacić, i jak spotkaliśmy się w tym mieście, zobaczyłem, że jest strasznie zaganiany, telefon za telefonem, nie wypuszczał z ręki mikrofonu, dzwoniąc równocześnie z trzech aparatów. Włodek Gulgowski gra z gitarzystą od Chicka Correi, też w Nowym Jorku, jest tam również Zbyszek Namysłowski, Amerykanie mówią: ludzie, chodźcie posłuchać tego genialnego Polaka. Ale żeby się utrzymać na topie trzeba biegać wokół interesu cały dzień; nie to, co w Łodzi — wstajesz, golisz się spokojnie, masz czas na kino, na dziewczyny, na spacer.

— Warszawa jest inna.

— Jasne. W Warszawie jest normalny europejski kocioł; bez przerwy na pełnych obrotach albo łeb pod wodą.

Perkusista spojrzał na zegarek.

— Druga — powiedział. — Musimy jechać.

— Gdzie gracie? — zapytał go Fred.

— W Uppsali.

— I chcecie wziąć Maksa?

— Tak.

— Słuchaj no, Maks — zwrócił się Kajtek do gościa. — A może zostaniesz parę dni u mnie?

— Nie chciałbym sprawiać ci kłopotu.

— Jaki kłopot? Zobaczysz Sztokholm, odwiedzisz chłopaków...

Maks wahał się jak człowiek, który ma o jedną propozycję za dużo. Ten z rudą bródką, jego najbliższy przyjaciel, powiedział:

— Zostań!

— I jak przyjadę do Uppsali?

— Odwiozę cię — powiedział Kajtek. — Posiedzisz parę dni i cię odwiozę.

Więc został. Tych dwóch wyruszyło do Uppsali, żeby zdążyć na wieczorne granie, Fred poszedł spać, a Maks, Kajtek i jego 11-letni syn wsiedli w samochód i pojechali do śródmieścia.

Była piękna, zimowa pogoda, śnieg skrzył się w słońcu, położone na wyspach miasto, poprzedzielane skutymi lodem zatokami, wabiło czystością ulic i niebanalnym kolorytem domów, które wyglądały tak, jakby zbudowano je przed miesiącem, a miały po 100 i 200 lat. Na jednym z placów stara kobieta grała na elektrycznych organach i śpiewała pieśni o Chrystusie, przy czym warto od razu zaznaczyć, że Szwedzi do kościoła nie chodzą. Na innym, 30-letni mężczyzna o długich, z lekka już posiwiałych włosach tworzył w pojedynkę całą orkiestrę: jedną nogą tłukł w bęben, drugą naciskał pedał elektrycznego rytmograja, w rękach trzymał akordeon, a do mikrofonu, w który śpiewał ze swadą, przywiązane miał także organki. W dużym domu towarowym, gdzie pracowała żona Kajtka, Maks zobaczył po raz pierwszy w życiu dwóch przedstawicieli światoburczego ruchu młodzieżowego, Punk. Było to wielkie przeżycie...

— Skąd to się wzięło?

— Jak to skąd? Z Ameryki.

— Jednym słowem: jak wszystko inne.

— No, pewnie.

Ten wyższy, blondynek, szokowałby pewnie samym już ubiorem, gdyby nie to, że w kącik wargi wpiął sobie ogromną agrafkę. Był to akt takiego bohaterstwa i męczeństwa, że na inne szczegóły nie zwracałeś uwagi.

— I oni tak zawsze... z agrafką?

— Nie zawsze. Czasami może to być także gwoździ albo drut.

— W ustach?

— Także w nosie albo w uchu.

— Trochę jak w plemiennej Afryce.

— Aha.

Co do ubioru i uczesania, też się było czym pozachwycać. Pół głowy na czarno, pół na blond. Jeden rękaw krótki i w paski, drugi długi i w łaty. Spodnie smokingowe, dwa buty od pary, krawat do koszulki gimnastycznej.

— Totalna negacja.

— Tak. Bardzo lubię na nich patrzeć, szczególnie w telewizji, gdzie często udzielają wywiadów. Nieraz trafiają się takie aparaty, że Flip i Flap wysiada. Cały łeb łysy jak kolano, a tu nagle, ni w pięć ni w dziewięć, wyrasta zza ucha pukiel włosów. W Polsce jeszcze tego nie ma?

— Jeszcze nie. Chociaż... temu zespołowi Tahiti Tropicale Granda Banda dużo nie brakuje.

Szwecja, znana niegdyś ze swej uczciwości i porządku, przeżywa teraz niemałe problemy wychowawcze. W wypadku Ragarów wieje prawdziwą grozą. Są to najczęściej mechanicy, samochodowi, jeżdżący ogromnymi, amerykańskimi krążownikami; lubią zniewolić dziewczynkę i zdzielić przechodnia w nos, często urządzają wyścigi na autostradach i terroryzują innych kierowców. Maks miał później usłyszeć dość makabryczną historię. Pewna kobieta w podeszłym wieku, prowadząca samotnie wóz, została zaatakowana przez Ragarów na ustroniu. Bawili się z nią w kota i w myszkę, zajeżdżali jej drogę, grali na nosie, w pewnej chwili któryś sięgnął po ciężki, żelazny łańcuch i zaczął okładać miarowo przednią szybę samochodu, który prowadziła kobieta, tak, że po kilkunastu sekundach droga stała się dla niej prawie niewidoczna.

Przerażona zahamowała, a potem świadoma, że tak czy owak grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo, wcisnęła gaz do oporu, podczas gdy Ragar ciągle walił łańcuchem.

Poczuła szarpnięcie, tak jakby łańcuch zaczepił się o uchwyty bagażowe na dachu i przelatując skrzyżowanie na czerwonym świetle, zdołała jakoś zbiec.

W godzinę później, zaszokowana zwierzała się w domu mężowi. Ponieważ mąż nie chciał dać wiary, powiedziała:

— W takim razie, chodź, zobaczysz jak wygląda samochód.

Podczas oględzin zauważyli nagle łańcuch wplątany w rusztowanie bagażowe. Do zwisającego, skrwawionego końca przyczepione były trzy środkowe palce prawej ręki.

Małżonkowie zawiadomili o makabrycznym odkryciu policję i resztę była już tylko formalnością. Kontrola szpitali doprowadziła do ujęcia napastnika, który wyjąc z bólu, stawił się na opatrunek.

Kajtek zaprosił gościa na obiad do pizzerii, a potem zapytał go, czy nie ma ochoty polatać samolotem.

— Nie żartujesz ze mnie?

— Skąd. Jak chcesz, zaraz mogę zamówić lot.

— I kto będzie pilotował?

— Najpierw ja, bo wystartować to chyba sam nie potrafisz.

— Ja nie umiem prowadzić nawet samochodu.

— Ale z samolotem dasz sobie jakoś radę.

Następnego dnia, w środę, lot nie doszedł do skutku, bo była bardzo kiepska pogoda, chmury, zła widoczność, wiatr. Jednakże w czwartek znowu wyjrzało słońce i Kajtek pojechał z gościem na lotnisko sztokholmskiego aeroklubu.

Po obu stronach pasa stały szeregiem małe sportowe samoloty. Kajtek podszedł do jednego z nich, zwolnił sznury, którymi skrzydła przyczepione były do leżących na ziemi drążków, chwycił śmigło i obrócił je ręką, po czym wdrapał się na prawe skrzydło, odkręcił zawór i sprawdził poziom paliwa.

— Kiedyś — powiedział — był tu wypadek. Facet wzbił się kilkanaście metrów nad ziemię i runął w dół bo mu ktoś odciągnął w nocy zlauchem cały zapas benzyny.

— Latałeś już kiedyś tym samolotem? — spytał Maks.

— Nie. Ja mam tu swój inny ulubiony typ, ale jest akurat zajęty. Tym polecę po raz pierwszy.

Otworzył maskę silnika (był to Rolls Royce, 100 koni mechanicznych), sprawdził olej i wypuścił wodę z kranu, tak, że ściekła na ziemię.

— Możemy wsiadać — powiedział. I dodał: — Nie boisz się?

— Nie.

— Dobra. Zamknij dobrze drzwi i zapnij pas na brzuchu.

— A ten drugi, na piersi?

— Nie potrzeba.

Sprawdzał teraz po kolei wszystkie urządzenia. Podniósł mikrofon i kiedy z wieży kontrolnej dostał pozwolenie wjechania na pas startowy, ruszył powoli w tamtą stronę.

— Uważaj! — powiedział. — Są dwa systemy sterownicze, dla ciebie i dla mnie. Jak wciskasz lekko ster lewą stopą i przekręcasz w lewą stronę drążek, no wiesz, tę niby kierownicę, na której trzymasz ręce, to wówczas samolot skręca w lewo, a jak robisz to wszystko prawą stopą i przekręcasz drążek w prawo, to skręcasz w odwrotną stronę.

Przerwał na chwilę instruktaż, bo ten z wieży dał mu pozwolenie na start i trzeba było zrobić generalną próbę silnika, który wyjąc, pracował przez moment na pełnych obrotach. Potem ruszyli, pas zapadł się po paruset metrach jak skocznia narciarska i samolot był już w powietrzu.

— Teraz, popatrz! Jak wciskasz drążek w maskę, samolot pikuje w dół, jak go wyciągasz, idzie w górę.

— Po co mi to wszystko mówisz?

— Myślałem, że cię to interesuje.

Przez kruche szyby umocowane w równie kruchych drzwiach roztaczał się piękny widok na Sztokholm i jego okolice: zalesione wysepki, pokryte śniegiem pola i stojące lodem zatoki. Kajtek zameldował się kilkakrotnie na punktach kontrolnych, dostał także ostrzeżenie z wieży, że gdzieś w pobliżu znajduje się helikopter. Później wyjął dwa papierosy, dla siebie i dla gościa, i chowając za siebie ręce, powiedział:

— Teraz twoja kolej, Maks. Ty prowadzisz.

Maks położył delikatnie samolot na lewe skrzydło, tak, że zatoczył nad ziemią łagodny łuk.

— Teraz wyprostuj go.

— Aha.

— Patrz w szybę i trzymaj się równo z horyzontem. Podciągnij trochę wysokość, podciągnij!

Maks wykonywał te wszystkie polecenia prowadząc samolot pełne 20 minut. W kabinie zrobiło się gorąco od słońca, które raz świeciło prosto w oczy, to znowu zaglądało ciekawie do środka przez boczne szyby.

— Moglibyśmy wylądować parę razy dla próby na małych polnych lotniskach, ale chyba darujemy to sobie z braku czasu. Ale jeśli chcesz, zrobię ci inną przyjemność — wyciągnął sztywno rękę, palcami w górę, i wykonując serię gwałtownych ruchów, powiedział: — O! widzisz, polecimy tak pionowo w niebo, a później zaczniemy tak, skokami, opadać w dół, jakbyśmy mieli się zaraz roztrzaskać. Mówię ci, wspaniałe przeżycie!

— Raczej tego nie rób, Kajtek — powiedział Maks. — Nie to, żebym się bał, ale po cholerę masz lądować z trupem na pokładzie.

Roześmieli się i Kajtek zaczął podchodzić na bazę. Ten z wieży zezwolił na lądowanie pod warunkiem, że będzie to „krótki" finał, to znaczy: nadlatujesz, bracie, na pas skosem i siadasz tak szybko, jak tylko możliwe, bo tam za tobą, obejrzyj się! podchodzi już do lądowania odrzutowiec lokalnych linii szwedzkich, a pasy są wspólne dla samolotów pasażerskich i sportowych.

Kajtek, który jest wytrawnym pilotem i licencję zdobył już wiele lat temu, zaczął realizować ów krótki finał, ale ten z wieży rozmyślił się w pewnej chwili, nie całkiem przekonany, czy zdołają usiąść przed rosnącym w oczach odrzutowcem i polecił im wrócić na bazę. Kołując, przepuścili nie jeden, a dwa odrzutowce pasażerskie, po czym Kajtek wylądował precyzyjnie, rzucając samolot na prawe koło, potem na lewe i dopiero wówczas na obydwa, co chroni samolot przed podmuchami wiatru.

Wieczorem i w nocy Kajtek jeździł z Maksem do lokali i domów, gdzie grali albo mieszkali różni polscy muzycy: odwiedzili klarnecistę i trębacza, którzy kiedyś grali w zespole Zygmunta Wicharego, złożyli wizytę kompozytorowi Ernestowi, u którego zastali również Sergiusza, perkusistę i malarza; przyjął ich także niezwykle serdecznie najwybitniejszy ze wszystkich polskich, grających aktualnie w Szwecji muzyków Waldi.

We wszystkich lokalach i domach szalał swing, który po wielu latach zapomnienia wraca gwałtownie do łask. I właśnie ta wspaniała pulsująca muzyka sprawiła, iż dla Maksa i chyba także dla niektórych muzyków Łódź, ta biedna, kochana, zapracowana Łódź lat sześćdziesiątych stała się nagle bardzo bliska.

Sztokholm — dzielnica Farsta. *Foto: CAF*

POCZTÓWKA Z IWONICZA

Iwonicz Zdrój leży na południowo-wschodnim Podkarpaciu, na północnych stokach Beskidu Niskiego. Z Łodzi jedzie się tu przez Tomaszów Mazowiecki, Skarżysko, Rzeszów, aż do Jasła. Z Rzeszowa do Jasła pociąg wlecze się i wlecze nie wiadomo dlaczego, bo przecież tegoroczna zima dla tych stron była łaskawa, mało śniegu, małe mrozy. W pociągu ludzie pokpiwają, mówią, że maszynisty nic nie goni, jedzie bowiem w kąt Polski.

Ten kąt Polski nawet w marcu ma dużo uroku, doliny i wzgórza, lasy i laski, budownictwo indywidualne, może nie tak regionalne, jak w okolicach Zakopanego ale dostatnie i zamożne.

Z Jasła, ciuchcią, dojeżdża się do Krosna, a stamtąd autobusem do Iwonicza Zdroju.

Iwonicz Zdrój jako uzdrowisko, w ubiegłym roku obchodził swoje czterechsetlecie, a jako osada znany jest około trzysta lat wcześniej.

Uroda iwonickiego uzdrowiska jest niepowtarzalna, jest to jedno z najbardziej unikalnych uzdrowisk w Europie, centrum, które zachowało niesfałszowany wygląd z XIX wieku, wraz z otaczającym go parkiem, w 1973 roku zostało wpisane do rejestru zabytków. Za początek lecznictwa uzdrowiskowego przyjmuje się rok 1578. W tym bowiem roku dr Wojciech Oczko, nadworny lekarz króla Stefana Batorego, w dziele lekarskim pt. „Cieplice" wskazuje na walory lecznicze wód uzdrowiska. W 1630 roku, lekarz przemyski Jan Sechkinii pisze pracę naukową poświęconą już wyłącznie zdrojom iwonickim, jest to „Cenzura o wodzie iwonickiej". W drugiej połowie XVII wieku wody mineralne badał dr Wawrzyniec Braun, nadworny lekarz króla Jana Sobieskiego oraz dr Conradi, nadworny lekarz królowej Marysieńki Sobieskiej.

Wincenty Pol, brat pierwszego znanego lekarza zdrojowego dr Józefa Pola, bawił tu często i napisał powieść pt. „Nieźli są ludzie" obrazującą życie kuracjuszy w Iwoniczu podczas sezonu zdrojowego. Częstym gośćmi, poza wspomnianym Polem byli poeci i pisarze: Michał Bałucki, Jan Gnatkowski, Zygmunt Kaczkowski — malarze: Artur Grottger, Feliks Pkwarski.

Wskazania do leczenia w Iwoniczu Zdroju są, ogólnie biorąc, rozległe: choroby narządów ruchu, serca i naczyń krwionośnych, układu nerwowego, dróg oddechowych, przewodu pokarmowego i szereg innych. Wody mineralne cieszą się tu również wielką sławą. Jest tu jednocześnie najczystsze, najzdrowsze powietrze w kraju, bowiem Iwonicz charakteryzuje się klimatem podgórskim, karpackim, ściślej klimatem zaciszy śródgórskich o typie podalpejskim, z cechami klimatu morskiego. Zadbano tu również o to, aby zakłady przemysłowe budować z dala od uzdrowiska.

Z atrakcji jakie warto tu zobaczyć należy wymienić Muzeum Przemysłu Naftowego w Bóbrce, koło Dukli (Muzeum Łukasiewicza, polskiego wynalazcy) pobliski Rymanów, Duklę oraz osobliwość Iwonicza źródło „Bełkotkę". Podobno, tak mówi legenda, w źródełku tym kąpała się piękna Marysieńka, żona naszego króla — kuracjusze, którzy czasem też się kochają z reguły zaglądają do tego miejsca.

Do Iwonicza przyjechałem w marcu na dwudziestoczterodniową kurację w Szpitalu Uzdrowiskowym „Excelsior". Muszę przyznać, że podziwiam organizację szpitala, wszystko tu gra jak w zegarku, opieka lekarska, pielęgniarska, zabiegi wykonywane są punktualnie, winda nigdy nie jest zepsuta, a wyżywienie smaczne, ładnie podane i w takiej ilości, że nie każdy wszystko zjada — aż dziw bierze, bo według wyjaśnień dyrektora szpitala na śniadanie, obiad i kolację jest tylko trzydzieści pięć złotych — jadając w „Excelsiorze" zastanawiasz się dlaczego nasze restauracje, przy astronomicznych cenach jadą często na deficycie.

Od połowy marca Iwonicz jest wolny od śniegu, białe plamy widać jeszcze na „kopcach", ale giną one niemal w oczach bo jest ciepło, kilka lub kilkanaście stopni powyżej zera i co drugi dzień świeci słońce. W marcu obok około dwóch tysięcy mieszkańców są to przeważnie kuracjusze i trochę wczasowiczów. Jedni i drudzy nudzą się, bo życie kulturalne jest tu raczej na co dzień skromniutkie, mimo wysiłków pracowników oświatowo-kulturalnych (wycieczki do Łańcuta, Krosna, Rymanowej). W Szpitalu Uzdrowiskowym świetlica z ubogą prasą, żadnych tygodników (tygodników nie kupi się również w kioskach „Ruchu"), salka z telewizorem, stół do ping-ponga. W Iwoniczu jedno kino, biblioteka, obok salka z automatami, można wygrać, można przegrać...

Ale Iwonicz i jego okolice są żyzne także w ludzi o złotych rękach. Myślę o rzeźbie w drewnie, nie wiadomo skąd, nie wiadomo dlaczego, ale spotkać tu można ludzi, którzy od pachołęcia, bawiąc się scyzorykiem, doszli do perfekcji. Zrozumiałe, że przy tych dobrych, na gustach ludzkich żerują ludzie, którzy ze sztuką rzeźbiarką nie mają nic wspólnego i... o ironio, powodzi im się czasem lepiej od tych dobrych...

Nudząc się po zabiegach, poszedłem do „Krakowiaka" (coś w rodzaju ośrodka kulturalnego) zwiedzić wystawę rzeźb Władysława Kandefera, mieszkańca Iwonicza. Wystawa była skromna, kilkanaście rzeźb w drewnie, ale z tej małej salki, w której rzeźby eksponowano, nawet bez zbytniej troski o efekt, nie mogłem wyjść. Patrzyłem i podziwiałem... Między innymi, jest tam „Szarża konna" — dwa konie w galopie, na nich Polak i Rosjanin tratują wroga. Rzeźba pełna ekspresji, scena jak żywa, aż się wierzyć nie chce, że to dzieło rąk ludzkich. Obok „Szarży" rzeźba „W ataku" — trzech Rosjan w wirze walki, ich przeciwników nie ma, ale można się domyślić, że tę trójkę otoczył wróg — wsparli się o siebie placami, walczą, biją z nich siła, nieustraszoność, tak walczyli bohaterzy. Rzeźba ma wspaniałą kompozycję, przemawia, porusza, budzi szacunek i jednocześnie zadumę.

Pana z ośrodka kulturalnego pytam o rzeźbiarza — wyjaśnia mi uprzejmie, że jest to bardzo skromny człowiek i że jeżeli mam ochotę, mogę go posłuchać za kilka dni, bo ośrodek organizuje spotkanie z nim.

Foto: Archiwum

Nie pominąłem okazji. Okazało się, że „skromny człowiek" ukończył w Zakopanem Szkołę Kenara, a potem w latach 46—52 Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie. Żeby było jeszcze „skromniej" Władysław Kandefer był uczniem Xawerego Dunikowskiego i w czasie spotkania o swoim mistrzu mówił z humorem, opowiadał anegdoty, dowcipy, ale w każdym słowie czuło się jego wielki szacunek dla wspaniałego nauczyciela. W małej salce słuchacze mieli przed sobą człowieka, który wydawał się być nawet zakłopotany tym spotkaniem, a o swoim ukochaniu, o rzeźbie w drewnie mówił jakby z zażenowaniem. Zapytany przez kogoś z sali, czy mógłby nie rzeźbić, przez chwilę jakby nie rozumiał pytania, a potem z uśmiechem, znów jakby się usprawiedliwiając, wyciągnął przed siebie ręce i zdumiony powiedział: A cóż stałoby się wtedy z moimi rękoma?

Spotkałem później W. Kandefera; jest bezpośredni, szczery, żaden „profesor", jak tu go nazywają. Po pięciu minutach rozmawia się z nim jak ze starym znajomym. Słucha się z zaciekawieniem o jego życiu, o studiach, o dniu dzisiejszym, a przede wszystkim o rzeźbie w drewnie, o drewnie jako materiale, jednym słowem o jego miłości...

EDWARD KOPCZYŃSKI

OBYCZAJE

10 ZŁOTYCH RUBLI

Myśliwi ustawili się na rżysku odgradzając dojście do lasu. Przed nimi leżało gołe pole, z lewej strony, trochę w dole przycupnęła wieś, dalej znowu był las. Rosło napięcie i podniecenie, choć było to zwyczajne polowanie na zające, a nie na tygrysy. Ustalono, że każdy strzela na wprost i w lewo.

Mieczysław B. jako, że przekroczył sześćdziesiątkę, ustawił na ziemi rozkładany stołeczek wędkarski, siadł, przetarł dla pewności okulary i czekał, aż naganka przypędzi zające pod lufę. I tak się stało. Pędzone krzykiem, jazgotem kołatek, ujadaniem psów, szaraki waliły na łeb na szyję wprost pod lufy ustawionych w tyralierę myśliwych. Mieczysław B. strzelił raz, drugi, ponownie załadował. Kanonada trwała kilka minut, aż na rżysku ustał wszelki ruch i oznaki życia. Wtedy każdy z myśliwych ruszył ku swojej zdobyczy. Mieczysław B. zabił dwa szaraki, a właściwie jednego, bo drugi jeszcze żył i rzucał się po polu. Mieczysław B. schwycił go za tylne skoki i uderzył łbem o ziemię — stary, myśliwski sposób skracania mąk postrzelonej zwierzyny. Zając beknął i zdechł ostatecznie, ale w miejscu, o które uderzył łbem coś błysnęło jakby iskierka jakaś. Mieczysław B. bardziej dla porządku niż z ciekawości poruszył w owym miejscu czubkiem buta. Ukazała się moneta. Była to złota dziesięciorublówka. Mieczysław B. udał, że dobija zająca, więc raz jeszcze grzmotnął nim o ziemię, szybko schował pieniądz do kieszeni, naprędce zaznaczył miejsce i powrócił do myśliwskiej braci.

W domu Mieczysław B. wtajemniczył w całą sprawę swojego zięcia, Mirosława S. Postanowili, że jak tylko się ściemni, a najlepiej gdzieś tak o północy, wyjdą na tamto pole i przeszukają teren. Grunty należały do niejakiego Jana T. o którym wiedziano, że siedzi na złocie, bo jego dziadek wyjeżdżał na roboty do Francji, a po powrocie kupił najlepszą gospodarkę w całej okolicy, pobudował się, hodował nawet konie. Spadkobiercy owego T. również żyli bogato, w terminie płacili podatki, wywiązywali się z obowiązkowych dostaw, a teraz najmłodszy z nich Jan T. ukończył technikum rolnicze i założył hodowlę trzody chlewnej. Po pijanemu lubił się przechwalać, że jak by chciał, to kupiłby całą wieś, a chłopów zatrudniłby u siebie jako parobków. Po żonę to pojechał aż do Michocina, za rzekę, bo tu nie było dla niego panny na tyle bogatej by mógł ją wprowadzić do swojego domu. Ludzie na wsi są pamiętliwi, wiele nie mówią, ale co wiedzą, to chowają w sobie przez całe lata.

Znaleziona złota moneta dziesięciorublowa była kolejnym dowodem i potwierdzeniem niewyczerpanego bogactwa Jana T. Pewnikiem zakopał na polu cały tego worek, albo i skrzynię. Trzeba jedynie niepostrzeżenie dobrać się do skarbu, a potem szukaj wiatru w polu. Dla Jana T. to żadna strata, lecz dla Mieczysława B. i jego zięcia Mirosława S. pieniądze mogą okazać się momentem zwrotnym, nadać nowy sens ich dotychczasowemu życiu.

O północy, uzbrojeniu w łopaty, worek i latarkę, powędrowali pod las, na owo pole, gdzie parę godzin temu odbyła się masakra spędzonych tu zajęcy. Mieczysław B. długo szukał swojego znaku, w końcu pokazał: tu!

Łopaty poszły w ruch. Po godzinie solidny kawał rżyska został dokładnie przekopany, lecz pieniędzy nie było.

— Może teść się pomylili? — zapytał Mirosław S.

— Przeciem zaznaczył.

— Aby na pewno tu?

Mieczysław B. ponownie zaczął mierzyć kroki od lasu, uważnie przyglądać się rżysku. Wydało mu się, że istotnie nie trafił za pierwszym razem, że raczej trzeba było rozpocząć kopanie bardziej na lewo. Lecz i tym razem niczego nie znaleźli.

Pracowali do świtu. W końcu zięć nie wytrzymał:

— Cholera z nimi, zara wzejdzie słońce i ktoś nas zobaczy.

— Jeszcze trochę — posapywał stary. — Była jedna sztuka, to muszą być i inne.

— Jak teść chcą, ale ja idę.

Zarzucił łopatę na ramię i rzeczywiście odszedł. Wróciwszy do domu, burknął coś niewyraźnie żonie, a córce Mieczysława B. i zwalił się na łóżko.

Obudziła go żona, mówiąc, że już wieczór, a ojciec ciągle nie wracają.

— Pewnie kopie — odpowiedział z niechęcią, bo sen go okrutnie morzył.

— Tyli czas? — nie dawała za wygraną. — Jakżeś go ostawił?

— Zwyczajnie: kopał, a ja poszedłem.

— Wstawaj i pójdź na tamto pole, może zaniemógł, albo co gorsze.

Mirosław S. zjadł naprędce późny obiad, ponownie wziął łopatę i by nie wzbudzać podejrzeń, poszedł najpierw w kierunku lasu, a potem ostrożnie zbliżył się do pola Jana T.

Wszędzie widać świeżą ziemię, wywrócone rżysko, w niektórych miejscach są nawet solidne doły, lecz Mieczysław B. zniknął.

Mirosław S. poczuł na ciele ciarki, a pod sercem ogromny niepokój. Wydawało mu się nagle, że z tyłu, za nim, ktoś nadepnął na gałąź, która trzasnęła z hukiem. Odwrócił się. W lesie była jesienna cisza. Ale gdy tylko wrócił na pole, trzask się powtórzył; ktoś skradał się w jego stronę. Przerażony, zapominając o konspiracji, pognał polami do wsi, co chwila oglądając się za siebie. W domu opowiedział o wszystkim żonie.

— Trza dzwonić na posterunek — zadecydowała.

— I co im powiesz? Że poszlim złota szukać?

— Powiem prawdę.

— Zamkną mnie.

— Nie tak zaraz. Ten Jan mógł ojca zabić czy tego nie pojmujesz? Dla takiego, to rzecz zwyczajna. Sama słyszałam, jak się chwalił, że mu nikt nic nie zrobi, bo w jednej kieszeni nosi pieniądze dla milicji, a w drugiej dla prokuratora.

— Głupiaś i tyle. Człowiek to nie świniak na części się go nie potnie i na strychu nie zawiesi.

— Ale można go zakopać, ot co.

Tego dnia, wieś Lipowo, przeżyła sensację. Po południu przybyły dwa samochody milicyjne z psami, Jan T., w asyście władzy odbył wędrówkę na swoje pole i ze zdziwieniem przekonał się, że ktoś mu solidnie przekopał pole. Na pytania dotyczące Mieczysława B. nic nie mógł odpowiedzieć. Twierdził, że z B. nie utrzymuje żadnych stosunków, bo to hołysz i utracjusz, a on gospodarz i hodowca. Także nikt z sąsiadów nic nie wiedział o Mieczysławie B. Psy kręciły się po rżysku, wbiegały w las, to znów pędziły ku zabudowaniom wiejskim, by tam zgubić trop.

Praca ekipy milicyjnej trwała do późnego wieczora, po czym czynności poszukiwawcze zawieszono do dnia jutrzejszego.

Wozy milicyjne, uwożąc Jana T., ruszyły w stronę miasta powiatowego. I tu, na drodze nastąpiło rozwiązanie zagadki o poszlakach kryminalnych. Oto w świetle reflektorów ujrzano Mieczysława B. całego i zdrowego, tyle, że pijanego. Bełkotał coś niewyraźnie i całował każdego, kto się doń zbliżał.

Ostatecznie wszystko się wyjaśniło nazajutrz, kiedy Mieczysław B. trochę przyszedł do siebie. A było to tak. Kiedy kopanie nie przyniosło upragnionego bogactwa, zmęczony i głodny ruszył Mieczysław B. w stronę domu. Aliści po drodze napotkał swego kuma, Alojzego M. wielkiego speca od bimbru. Kum zgodził się sprzedać pół litra, a ponieważ Mieczysław B. nie miał przy sobie pieniędzy, pokazał owe dziesięć złotych rubli. Alojzy M. wypróbował złoto zębami i zgodził się je przyjąć jako zapłatę. Ale nie miał reszty. Wówczas postanowiono, że Mieczysław B. wypije za tyle, ile jest warta rzeczona dziesięciorublówka.

I to wszystko. Jedno, co niepokoi Mieczysława B. to podejrzenie, iż kum go oszukał, bo przy obecnym kursie złota, jest wątpliwe, czy mógł przepić sam jeden całe dziesięć rubli w złocie, wliczając w to nawet zagrychę.

Skąd się jednak wzięło te 10 złotych rubli, do tej pory nikt nie wie.

EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: W. Paryś

UKŁAD TRWAŁEJ WSPÓŁPRACY

MARIAN WILK

Jedną z ważnych dat w najnowszej historii Polski jest 21 kwietnia 1945 roku. Wtedy to w Moskwie na Kremlu podpisano polsko-radziecki układ o przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy. Podpisy pod tym doniosłym aktem złożyli premierzy obu rządów: *Edward Osóbka-Morawski* i *Józef Stalin*.

Podpisanie polsko-radzieckiego układu sojuszniczego poprzedziły rozmowy z rządem radzieckim. Delegacja Rządu Tymczasowego RP przebywała w Moskwie w styczniu i lutym 1945 r. Podczas tych rozmów wysunięto propozycję podpisania układu — w efekcie projekt przygotowano w połowie kwietnia, 16 kwietnia został on jednogłośnie przyjęty przez Radę Ministrów. Rezolucja w tej sprawie stwierdzała:

„Zważywszy całokształt sytuacji międzynarodowej w chwili obecnej oraz podyktowaną najwyższą racją stanu konieczność nadania konkretnego kształtu polityce przyjaźni z ZSRR, zagwarantowania najżywotniejszych interesów i trwałego bezpieczeństwa Polski, Rząd Tymczasowy RP postanawia wystąpić do Rządu ZSRR z inicjatywą zawarcia paktu przyjaźni, pomocy wzajemnej i współpracy powojennej między Polską i ZSRR. Rada Ministrów upoważniła premiera i ministra spraw zagranicznych do podjęcia rokowań w tej sprawie z rządem ZSRR".

W okresie poprzedzającym podpisanie układu odbyło się w całym kraju szereg zgromadzeń, wieców i zebrań, w trakcie których ludzie wyrażali życzenie, by Polska w interesie własnego bezpieczeństwa i ustanowienia długotrwałego pokoju zawarła układ ze Związkiem Radzieckim. Szczególnie aktywnie występowali robotnicy i inteligencja Łodzi. Takie zebrania odbyły się między innymi w fabrykach: Poznańskiego (ZPB im. J. Marchlewskiego), Johna (Kombinat „Ponar-Jotes"), Grohmanna (ŁZPB im. Obrońców Pokoju) i innych.

19 kwietnia 1945 roku delegacja Rządu Tymczasowego RP z *Bolesławem Bierutem* i *Edwardem Osóbką-Morawskim* przybyła do Moskwy.

„Rząd Związku Radzieckiego — mówił po powrocie z Moskwy premier Osóbka-Morawski — *nadał naszej wizycie szczególnie uroczysty charakter. W uroczystościach uczestniczył również korpus dyplomatyczny innych państw. Spotkaliśmy się z niezwykłą serdecznością rządu radzieckiego i marszałka Stalina. Odbyliśmy cały szereg rozmów z przedstawicielami rządu radzieckiego i przedstawicielami innych państw. Po oficjalnej wizycie, na której omawialiśmy sprawę paktu, odbyła się konferencja poświęcona sprawom gospodarczym. Znaleźliśmy olbrzymie zrozumienie dla spraw polskich i naszych trudności gospodarczych".*

Układ zakładał wspólną obronę przed niebezpieczeństwem na wypadek agresji ze strony Niemiec lub *„jakiegokolwiek innego państwa, które sprzymierzyłoby się z Niemcami bezpośrednio lub w jakiejkolwiek innej formie"*. Innym elementem układu było zapewnienie pokoju i bezpieczeństwa w ramach szerokiego frontu międzynarodowej współpracy. Związek Radziecki podkreślił, iż próby podważania pozycji sił ludowych w Polsce muszą być skazane na niepowodzenie. Zbliżał się koniec wojny. Na porządku dziennym musiały stanąć — układ powojennych stosunków międzynarodowych i miejsce Polski w Europie. A w tej sprawie Polska zyskiwała potężnego sojusznika. Układ ten miał wielkie znaczenie dla sytuacji ekonomicznej Polski. Artykuł szósty układu mówił:

„Wysokie Układające się Strony będą współpracowały w duchu przyjaźni również po zakończeniu obecnej wojny w celu dalszego rozwoju i umacniania więzi ekonomicznej i kulturalnej między obydwoma krajami i będą sobie pomagały wzajemnie w odbudowie gospodarczej obydwu krajów".

Układ o przyjaźni był aktem prawnej kodyfikacji faktycznego sojuszu wojskowego i politycznego, jaki powstał między narodem polskim, a narodami Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej. Był podsumowaniem wniosków z lat 1941—1945, zamykał historyczny etap kształtowania się Polski Ludowej. Otwierał nowy rozdział w stosunkach polsko-radzieckich.

Dla zniszczonej wojną i okupacją Polski istotna była pomoc ekonomiczna ZSRR. Już 7 lipca 1945 roku podpisany został polsko-radziecki układ handlowy, który gwarantował Polsce dostawę najniezbędniejszych surowców i urządzeń. Niektóre surowce, przede wszystkim dla przemysłu włókienniczego, nadeszły na długo przed podpisaniem układu handlowego. Już w połowie lutego 1945 roku przybyła do Łodzi delegacja Ludowego Komisariatu Przemysłu Lekkiego ZSRR, która na miejscu zapoznała się z potrzebami centrum polskiego przemysłu włókienniczego. Pierwsze transporty bawełny i wełny zostały wysłane z ZSRR 28 marca i dotarły do Łodzi 8 kwietnia. Do końca tego miesiąca nadeszły do Łodzi 504 wagony bawełny i 122 wagony wełny zawierające około 4 tys. ton bawełny i 930 ton wełny. Otrzymane w kwietniu ilości surowca pozwoliły na zatrudnienie większej liczby osób w fabrykach łódzkich.

W sprawozdaniu Komitetu Łódzkiego PPR z 15 maja 1945 roku czytamy:

„Zagadnienie surowca w fabrykach włókienniczych do marca br. było przyczyną słabego wzrostu ilości zatrudnionych. Obecnie, poczynając od kwietnia, sprawa ta została rozwiązana dzięki przybyciu większej ilości sowieckiej bawełny. To z kolei umożliwiło zatrudnienie większej ilości robotników".

W przewidzianych umową terminach nadchodziły do Polski transporty rud żelaza, chemikaliów, skór, garbników, kauczuku, miedzi, aluminium, benzyny, celulozy, samochodów i innych artykułów. Polska ze swej strony wysyłała do ZSRR te towary, którymi wówczas dysponowała, tj. węgiel kamienny, koks, żelazo, tkaniny bawełniane i wełniane, szkło okienne. Całokształt stosunków handlowych polsko-radzieckich w 1945 roku — mimo, że rozwijały się one w oparciu o dwustronne porozumienie — były formą pomocy Związku Radzieckiego dla Polski. Korzystną dla nas okolicznością był fakt, że większość zobowiązań spłacaliśmy węglem. Miało to istotne znaczenie dla gospodarki kraju, ponieważ nie obciążało budżetu państwa wydatkami w złocie i dewizach.

Polska i ZSRR, kierując się duchem Układu o przyjaźni, rozwinęły w latach powojennych współpracę we wszystkich dziedzinach. Podstawowe znaczenie dla uprzemysłowienia Polski miały trzy porozumienia, które były zarazem pierwowzorem dla współpracy innych państw socjalistycznej wspólnoty. Były to: umowa o współpracy naukowo-technicznej z 5 marca 1947 roku, umowa o dostawach towarów i sprzętu inwestycyjnego z 28 stycznia 1948 roku oraz umowa z 29 czerwca tegoż roku na dostawę obiektów przemysłowych i sprzętu inwestycyjnego (na lata 1951—1958). Wieloletnia umowa inwestycyjna była kilkakrotnie rozszerzana i uzupełniana różnego rodzaju porozumieniami o dostawach kompletnych urządzeń obiektów i pomocy technicznej. Mówiąc o pomocy radzieckiej w uprzemysłowieniu Polski należy podkreślić, że znaczną część urządzeń otrzymaliśmy na warunkach niskoprocentowych kredytów. Spłaty kredytów następowały w czasie, gdy dostarczone urządzenia inwestycyjne już pracowały i powiększały produkcję.

Foto: Archiwum

Doktor habilitowany Marian Wilk jest docentem w Instytucie Krajów Socjalistycznych Polskiej Akademii Nauk.

W trudnej sytuacji gospodarczej, jaka wytworzyła się w 1956 roku, gdy równocześnie Polska wkraczała w realizację planu pięcioletniego, Związek Radziecki znów udzielił naszemu krajowi potrzebnej pomocy. We wrześniu przebywała w Moskwie polska delegacja rządowa, która podpisała protokół o nowych dostawach surowców i udzieleniu pożyczki w złocie w ilości 12,6 ton.

Dla dalszego rozwoju polsko-radzieckich stosunków politycznych i gospodarczych ogromne znaczenie miały decyzje XX Zjazdu KPZR z lutego 1956, które, uwzględniając zasadnicze zmiany w ogólnej sytuacji międzynarodowej, precyzowały zasady dla stosunków między krajami socjalistycznymi.

Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych współpraca polsko-radziecka wkroczyła na wyższy poziom. Wiązało się to z generalnym dążeniem państw socjalistycznych do zacieśnienia więzów, rozszerzenia współpracy. Na XVI sesji RWPG w 1962 roku przyjęto tezę o *„podstawowych zasadach międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy"*, a na XXV sesji RWPG w 1971 roku *„kompleksowy program dalszego pogłębiania i doskonalenia współpracy i rozwoju socjalistycznej integracji gospodarczej krajów członkowskich RWPG"*. Na XXXII sesji RWPG w Bukareszcie, w czerwcu 1978 roku przyjęto program zaspokojenia potrzeb krajów członkowskich na podstawowe energie, paliwa, surowce, aż po rok 1990.

Rosną systematycznie obroty handlowe między PRL a ZSRR. Jeżeli w latach 1971—1976 wymiana towarowa między Polską a ZSRR osiągnęła wartość 16,7 mld rubli, to na następną pięciolatkę planowano sumę 28 mld rubli, lecz na początku 1978 roku eksperci orzekli, iż przekroczy ona znacznie 32 mld. W 1977 roku udział Związku Radzieckiego w globalnych obrotach polskiego handlu zagranicznego przekroczył 32 procent, podczas, gdy Polska partycypowała udziałem około 11 procent w radzieckim handlu zagranicznym. Szczególnie duże rozmiary przybiera komplementarna wymiana surowców i materiałów. W 1977 roku radzieckie dostawy pokrywały 72 procent polskiego importu ropy naftowej, 100 proc. gazu ziemnego, 72 proc. rudy żelaza, 70 proc. bawełny.

Równolegle wzrasta rola Polski, jako partnera handlowego ZSRR. W latach 1976—1980 planowane jest wysłanie do Kraju Rad 48 mln ton węgla kamiennego, 4 mln ton siarki, poważnych ilości koksu, cynku, sody kalcynowanej. Wzrasta obrót maszynami i urządzeniami. Dotychczasowe doświadczenia oraz postępujący rozwój wymiany handlowej wskazują, że o dynamice obrotów handlowych ze Związkiem Radzieckim decydować będzie w dużym stopniu wymiana maszyn i urządzeń oraz artykułów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego.

Eksport inwestycyjny do Związku Radzieckiego rozpoczęliśmy w pierwszych latach po wojnie od parowozów i wagonów kolejowych. W następnych latach objął on statki morskie różnych typów, obrabiarki, aparaturę pomiarową i laboratoryjną, a później także maszyny i urządzenia dla przemysłu lekkiego, wreszcie kompletne obiekty przemysłowe.

Doniosłe znaczenie ma dla Polski zaplanowany na lata 1976—1980 import radzieckich urządzeń dla ponad 80 zakładów przemysłowych, w tym dla huty „Katowice". Przemawiając na uroczystości z okazji uruchomienia huty, 14 grudnia 1976 roku, *Edward Gierek* powiedział m. in.:

„Rozwijając nasz kraj, podnosząc poziom życia społeczeństwa, podejmując ambitne zamierzenia i rozwiązując złożone problemy, zawsze znajdujemy niezawodną pomoc i oparcie w wielkim narodzie radzieckim. Sojusz, przyjaźń i współpraca ze Związkiem Radzieckim to fundament bezpieczeństwa i niepodległości Polski, położony we wspólnej walce z hitlerowskim faszyzmem, wypróbowany w okresie ponad 30 lat budownictwa socjalistycznego. Pogłębiająca się stale współpraca naszych krajów to ważny czynnik postępu, jakiego dokonujemy we wszystkich dziedzinach gospodarki i kultury narodowej. Dostawy surowców i paliw, maszyn i urządzeń, technologii i projektów, a także zbóż i artykułów żywnościowych ze Związku Radzieckiego, stanowią ważny czynnik rozwoju polskiej gospodarki, pomagają w zaspokojeniu codziennych potrzeb naszego społeczeństwa".

Sojusz ze Związkiem Radzieckim stanowi dla Polski fundament mocnej pozycji na forum międzynarodowym. Wzajemne gwarancje bezpieczeństwa, respektujące zasady *„wzajemnego poszanowania swej niezależności i suwerenności, jak również nieingerowania w sprawy wewnętrzne drugiego państwa"* dotyczyły nie tylko automatycznego funkcjonowania sojuszniczej pomocy w wypadku ponownej agresji ze strony Niemiec lub ich sprzymierzeńców, ale także uczestnictwa już po wojnie we wszystkich międzynarodowych poczynaniach zmierzających do zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa narodów.

8 kwietnia 1965 roku Polska i ZSRR podpisały w Warszawie kolejny Układ o przyjaźni, współpracy i pomocy wzajemnej. Nawiązując do układu kwietniowego podkreślono konieczność utrwalenia przełomu dokonanego w stosunkach między narodami Polski i ZSRR i na tej podstawie postanowiono *„umacniać wieczną i niezmienną przyjaźń, rozwijać wszechstronną współpracę i udzielać sobie wzajemnie pomocy"*. Podkreślono dążenie obu partnerów do kontynuowania działań w kierunku zapewnienia międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa, doprowadzenia do powszechnego i całkowitego rozbrojenia. Układ z 1965 roku potwierdził gwarancję, jak najdalej idącej kontrakcji w wypadku agresji, tym razem wskazując, jako źródło niebezpieczeństwa *„zachodnioniemieckie siły militaryzmu i odwetu"* oraz ich ewentualnych sprzymierzeńców.

Wychodząc z założenia, że pokój jest niepodzielny, Polska Ludowa wraz ze Związkiem Radzieckim wykazuje dużą aktywność dyplomatyczną, wnosząc swój wkład w budowanie podstaw bezpieczeństwa wszystkich narodów. Prezentując pogląd, że warunkiem stabilizacji odprężenia politycznego jest odprężenie militarne, Polska wraz ze Związkiem Radzieckim uczestniczy aktywnie w licznych przedsięwzięciach rozbrojeniowych na forum ONZ. Współdziałając ze Związkiem Radzieckim, Polska Ludowa przyczynia się do umocnienia pokoju na świecie, co pozwala narodom rozwijać się w spokoju, budując trwałe podstawy swojej przyszłości.

U PRZYJACIÓŁ

● Poziom ideowo-artystyczny utworów najmłodszego pokolenia twórców literatury radzieckiej okazał się dostatecznie wysoki, aby na seminariach zakończonego ostatnio wszechzwiązkowego sejmiku młodych w Moskwie toczyły się rozmowy nie nauczycieli z uczniami, lecz po prostu dyskusja profesjonalistów, poruszających najbardziej ważkie problemy literatury — pisze na łamach „Komsomolskiej Prawdy" Anatolij Ananiew.

Wiele utworów młodych uczestników spotkania — to pozycje, które znalazły uznanie zarówno wydawnictw, jak i redakcji czasopism. Liczni, stawiający pierwsze, ale pewne już kroki autorzy, znajdą się wkrótce w szeregach członków Związku Pisarzy ZSRR. Obrazu tej niewątpliwie pomyślnej sytuacji dopełnia fakt, że wśród utalentowanych debiutantów znaleźli się przedstawiciele różnych narodowości. Bardzo bogaty i różnorodny jest materiał z kilkudniowych obrad młodych pisarzy. Materiał ten niewątpliwie wzbogaci naszą wiedzę o problemach nurtujących twórczą młodzież radziecką.

Już obecnie na podstawie chociażby własnych doświadczeń z pracy z młodymi twórcami można pokusić się o sporządzenie listy tych, których osiągnięcia predestynują ich do szczytnego miana pisarzy z prawdziwego zdarzenia. Na liście tej niewątpliwie pierwszą lokatę należy przyznać Piotrowi Krasnowowi z Orenburga za jego „Saszkinskie pole" opublikowane przez wydawnictwo „Młoda Gwardia" — stwierdza A. Ananiew.

Prowadząc seminaria, ani ja, ani moi koledzy — pisarze starszego pokolenia nie zwracaliśmy się do młodzieży ex cathedra: nie chodzi bowiem o belferskie pouczanie, tak niestosowne wobec tych niewątpliwie uzdolnionych młodych ludzi. Talent, a w szczególności talent pisarza jest zjawiskiem subtelnym i indywidualnym. Ale czy można być prawdziwym pisarzem, nie angażując się bez reszty w złożone problemy życia swego narodu? Mówiliśmy też na seminariach, jak pojmował posłannictwo pisarza Lew Tołstoj: „Każdy utwór jest dopiero wówczas dziełem sztuki, gdy odkrywa on nową stronę życia". I jeszcze: „Siła oddziaływania utworu na widza lub czytelnika zależy przede wszystkim od osobistego zaangażowania twórcy w przedstawiony przez niego temat".

ПРОЛЕТАРИИ ВСЕХ СТРАН, СОЕДИНЯЙТЕСЬ!

РАБОЧИЙ КРАЙ

Орган Ивановского областного комитета КПСС и областного Совета народных депутатов

W tegorocznym 70 numerze „Raboczego Kraju", organu Iwanowskiego Wojewódzkiego Komitetu KPZR i Wojewódzkiej Rady Delegatów Ludowych ukazała się kolumna literacka z herbem Łodzi, zatytułowana „Moja lira sławi wiosnę". Redakcja w zwięzłej nocie, powołując się na opublikowany w „Prawdzie" artykuł Jerzego Wawrzaka pt. „Radość tworzenia", przypomniała wieloletnią już współpracę pomiędzy „Raboczym Krajem" a „Odgłosami", poświadczoną systematyczną wymianą materiałów.

Kolumna literacka, przygotowana przez zaprzyjaźnioną gazetę, przy pomocy naszej redakcji i oddziału łódzkiego ZLP, przynosi obszerny **fragment powieści Jerzego Wawrzaka „Na spotkanie dnia"** („Nazwisko Jerzego Wawrzaka, prozaika i poety — zauważa „Raboczyj Kraj" — jest dobrze znane polskiemu czytelnikowi. Jego utwory cechuje aktywne wniknięcie w życie, głęboka znajomość procesów zachodzących w rzeczywistości socjalistycznej. Szczególnie charakterystyczna dla takiego stosunku jest powieść „Linia") oraz wiersze **Tadeusza Gicgiera, Jana Huszczy, Tadeusza Chróścielewskiego, Wasyla Kocznowa, Igora Sikiryckiego, Konrada Frejdlicha i Władysława Strzeleckiego** w przekładzie Siergieja Maszkowa. **Aleksandra Nikołajewa i Marka Siergiejewa**. Znany grafik, **Włodzimierz Kotin**, zilustrował kolumnę swoimi rysunkami pejzaży łódzkich i warszawskich.

Tradycyjnym zwyczajem „Odgłosy" już w najbliższych tygodniach opublikują kolumnę literacką kolegów iwanowskich.

J. DARNAL

STRATEGIA USA NA BLISKIM WSCHODZIE

Upadek cesarskiego reżimu w Iranie, rozpad wojskowego bloku CENTO, wzrost antyamerykańskich nastrojów w wielu krajach bliskowschodnich, stały rozwój ruchów narodowo-wyzwoleńczych, wszystko to skłoniło wielonarodowe korporacje USA do gorączkowego poszukiwania dróg i możliwości uratowania swoich zachwianych pozycji w strefie Bliskiego Wschodu.

Pod naciskiem kompleksu wojskowo-przemysłowego rząd USA przystąpił do montowania wymyślonego przez Pentagon nowego wojskowo-politycznego bloku: Waszyngton — Kair — Tel Aviv, z oczywistą szkodą dla narodowych interesów zarówno Izraela jak i Egiptu. Traktat pokojowy między Izraelem i Egiptem nie ma bowiem nic wspólnego z ideą pokoju na Bliskim Wschodzie, natomiast stwarza warunki dla masowych dostaw najnowocześniejszej amerykańskiej broni, otwartego mieszania się w wewnętrzne sprawy krajów tego regionu i zwiększania bezpośredniej militarnej obecności USA w strefie Bliskiego i Środkowego Wschodu. Z wojskowej bazy na Diego Garcia na Oceanie Indyjskim strategdzy Pentagonu trzymają w zasięgu swego lotnictwa i okrętów cały rejon w promieniu 4.500 km. Obecnie zamierzają kontrolować z baz na Synaju, odstąpionych za zgodą Izraela i Egiptu, dalsze obszary w promieniu 1000 kilometrów.

W dobrze poinformowanych kołach arabskich przypuszcza się, iż Stany Zjednoczone będą dążyły do zabezpieczenia swojej obecności wojskowej w następujących punktach Bliskiego Wschodu: na Półwyspie Synajskim — gdzie dwie bazy lotnictwa pozostające w rękach Izraela mogą być w każdej chwili przekazane, za zgodą Egiptu, Stanom Zjednoczonym. Obie te bazy są przystosowane do przyjmowania zarówno największych samolotów transportowych, jak i bombowców z atomowym ładunkiem na pokładzie; na pustyni Negew — gdzie w zamian za dwie wojskowe bazy lotnicze na Synaju, Stany Zjednoczone wybudują dwie identyczne bazy na pustyni Negew, z których będzie mogło korzystać lotnictwo USA; w Omanie — gdzie USA zamierzają wykorzystać byłą brytyjską bazę lotniczą na wyspie Masira, leżącej na terytorialnych wodach Omanu. Baza ta, wraz z bazami na Synaju i na pustyni Negew, pozwoli lotnictwu amerykańskiemu na trzymanie pod kontrolą powietrzną całej bliskowschodniej strefy z wyjątkiem Iranu.

Waszyngton chciałby także wybudować bazy wojskowe na terytorium Arabii Saudyjskiej, ale tutaj spotkał się ze zdecydowaną odmową następcy tronu Fahda. Jeśli chodzi o amerykańską marynarkę wojenną to zapewniono jej możliwość „cumowania" okrętów w egipskich i izraelskich portach Morza Śródziemnego.

W swojej polityce zagranicznej obecna amerykańska administracja zawsze poświęcała wyjątkowo dużo uwagi Bliskiemu Wschodowi. Zresztą zainteresowanie tą strefą nie różni Cartera od jego poprzedników. Celem zabiegów USA niemal zawsze było zapewnienie monopolom panowania nad zagranicznymi rynkami zbytu i źródłami surowca, zwłaszcza energetycznego, a na Bliskim Wschodzie — długofalowe ekonomiczne, strategiczne i polityczne interesy Stanów Zjednoczonych. Z ekonomicznego punktu widzenia, pierwszoplanowe miejsce w tych interesach zajmuje oczywiście nafta. Zgodnie z oficjalną amerykańską statystyką wnętrze ziemi tego regionu kryje ponad 70 proc. wszystkich odkrytych zasobów płynnego złota w całym świecie kapitalistycznym. W konsekwencji bezpardonowej walki, naftowym monopolom Stanów Zjednoczonych udało się zdobyć dominujące pozycje na światowym rynku ropy naftowej i tym samym zapewnić sobie zgarnianie ogromnych i stale rosnących zysków. W ciągu 10 lat poprzedzających początek kryzysu energetycznego w krajach Zachodu, tj. od 1963 do 1972 roku, amerykańskie monopole za każdy dolar włożony w wydobycie nafty na Bliskim Wschodzie otrzymywały 5 dolarów czystego zysku. Co więcej, pieniądze płynące ze sprzedaży nafty — petrodolary — kraje wydobywające ropę naftową „zwracały" krajom Zachodu w postaci inwestycji. Ogromny przypływ petrodolarów ma dla ekonomiki USA wyjątkowo ważne znaczenie. Charakterystyczne na przykład, iż w przeciągu zaledwie 2 lat, od 1974 do 1976 roku, inwestycje krajów arabskich z Zatoki Perskiej, wydobywających ropę naftową, ulokowane w ekonomice Stanów Zjednoczonych, nie licząc wkładów do banków amerykańskich, wyniosły 34 miliardy dolarów.

Jeśli uwzględnić dostawy amerykańskiej broni i innego sprzętu wojskowego na wielomiliardowe sumy dolarów, to stanie się oczywiste znaczenie Bliskiego i Środkowego Wschodu dla monopolistycznych interesów USA. Ponadto region ten przeżywa dziś niespotykany dotąd boom budowlany, stając się nienasyconym rynkiem zbytu dla amerykańskich towarów i usług. Właśnie ten ekonomiczny aspekt podkreślał sekretarz Stanu, C. Vance, występując w amerykańskim Kongresie dwa lata temu, po swojej pierwszej podróży do krajów Bliskiego Wschodu. „W ciągu ostatnich czterech lat — powiedział Vance — amerykański eksport do krajów Bliskiego Wschodu zwiększył się dwukrotnie, z 5 do 10 proc. całej objętości handlu zagranicznego USA, a do krajów arabskich — 4-krotnie, osiągając około 7 miliardów dolarów rocznie".

Ten ekonomiczny czynnik nie jest bynajmniej tym jedynym, który bierze pod uwagę Waszyngton przy ocenie wagi strefy Bliskiego Wschodu w globalnej polityce Stanów Zjednoczonych. Położony na styku trzech kontynentów: Europy, Azji i Afryki, na skrzyżowaniu ważnych światowych dróg morskich łączących Europę z Azją, Bliski Wschód zyskuje tym większe znaczenie w planach globalnej strategii Pentagonu, że znajduje się w pobliżu granic Związku Radzieckiego. I, oczywiście, nie należy uważać za przypadek, że właśnie tutaj na Bliskim Wschodzie, USA rozmieściły swoje bazy wojskowe uzbrojone w rakiety balistyczne średniego zasięgu, typu „Thor" i „Jupiter". Od pierwszych lat rozpętanego przez USA wyścigu w zakresie broni rakietowej z głowicami atomowymi, Stany Zjednoczone z uporem dążyły do podciągnięcia swoich stanowisk rakietowych możliwie najbliżej do granic Związku Radzieckiego i innych krajów wspólnoty socjalistycznej.

Przejście szeregu krajów arabskich na drogę postępowych przeobrażeń socjalno-ekonomicznych, powstanie w tym rejonie świata silnego nurtu ruchów narodowo-wyzwoleńczych osłabiających pozycje imperializmu, skłaniają Waszyngton do podejmowania gorączkowych decyzji, mających zapobiec dalszemu rozwojowi groźnych dla USA tendencji w historycznym rozwoju krajów i narodów. W swojej bliskowschodniej polityce Stany Zjednoczone stawiają przede wszystkim na Izrael, który — jak utrzymują wiodący politycy izraelscy — może zostać uwikłany w dramatyczne wydarzenia, oraz na najbardziej reakcyjne koła w krajach arabskich, i robią wszystko dla umocnienia z nimi więzi ekonomicznych, politycznych i militarnych. W takim właśnie świetle należy widzieć rozpoczęty przez obecną administrację amerykańską proces „bliskowzschodniej regulacji", którym tak ona manewruje, żeby w maksymalnym stopniu podtrzymać zachwianą pozycję USA w tej strefie świata i w miarę możliwości utrzymać tam swoje wpływy.

Kontynuując linię swoich poprzedników, prezydent Carter popiera i umacnia pozycje tych reżimów, które mogą być oparciem i narzędziem amerykańskiego ekspansjonizmu zarówno w krajach arabskich, jak i poza ich granicami. Jak uważa komentator irackiej gazety „Tarik al-Szaab", dotyczy to przede wszystkim obecnego egipskiego rządu Sadata, który cieszy się szczególnymi względami w Waszyngtonie. Ze swojej strony egipski prezydent stara się ze wszystkich sił zademonstrować efektywność działań Kairu w roli amerykańskiego „podwykonawcy" na Bliskim Wschodzie i w innych krajach, na przykład afrykańskich. W ciągu kilku ostatnich lat Sadat zdążył już zareklamować siebie w charakterze wojskowego i politycznego narzędzia Stanów Zjednoczonych. Przymilając się swoim amerykańskim przyjaciołom, powiedział, podczas jednego ze swych niezliczonych publicznych wystąpień, że amerykańska broń o którą się dobija, będzie wykorzystana przez niego nie przeciwko Izraelowi, lecz „w celu wypełnienia zobowiązań, które wziął na siebie Egipt na Bliskim Wschodzie i w Afryce". Tym samym potwierdził Sadat swoją gotowość nie tylko do kontynuowania, lecz nawet do zaktywizowania walki przeciw postępowym siłom we wspomnianych strefach.

JERZY CZECH

Begin, Carter i Sadat w Camp Dawid. **Foto: Archiwum**

KRONIKA TYGODNIA

Nagromadziło się znów wydarzeń co niemiara. Zacznijmy od przypomnienia, **że ostatni okres przyniósł w dwóch krajach europejskich zapowiedź przedterminowych wyborów — w W. Brytanii i we Włoszech.** Pierwsze odbędą się w maju, drugie w czerwcu, jedne i drugie spowodowane zostały upadkiem rządów.

Labourzystowski rząd Callaghana przegrał wprawdzie w parlamencie tylko jednym głosem, ale nie oznacza to, aby Partia Pracy mogła spokojnie oczekiwać na wynik wyborów. Wręcz odwrotnie — sondaże wskazują, że większość wyborców może poprzeć konserwatystów. Taka ewentualność — równoznaczna z powołaniem na stanowisko premiera kobiety: Thatcher, przywódczyni Partii Konserwatywnej — wywołuje podobno w kołach EWG nieskrywane zadowolenie. Wynika ono z przekonania, że wówczas W. Brytania mocniej związana zostałaby z „dziewiątką". (Przypomnijmy, że ta właśnie partia wprowadziła Anglię w 1973 roku do EWG).

Wybory we Włoszech mogą przynieść powtórzenie układu sił. Sądzi się, że z niewielkimi przemieszczeniami głosów nadal najwięcej mandatów w parlamencie przypadnie partiom: chadeckiej i komunistycznej. (W ostatnich wyborach na chadecję głosowało 39 proc. — a na komunistów 34 proc. uprawnionych). Realne przypuszczenie, że **żadna z owych dwóch sił politycznych nie uzyska absolutnej większości** zmusza do zastanowienia się nad przyszłym rządowym rozwiązaniem. Logika podpowiada jedną tylko możliwość: udział włoskich komunistów w powyborczym gabinecie. Ale przecież do tego właśnie nie chciała dopuścić chadecja i stąd rozpisanie przedterminowych wyborów.

W komentarzach zagranicznych zwraca się też uwagę na sytuację, w jakiej znajdzie się papież Jan Paweł II. W 1976 roku Watykan odegrał pewną rolę w kampanii przedwyborczej, opowiadając się po stronie chadecji. Czy „niewłoski papież" może w taki czy inny sposób zabrać w tej sprawie głos? — oto pytanie już stawiane na łamach prasy.

Poza Europą najgłośniej w prasie o separatystycznym układzie egipsko-izraelskim i wydarzeniach w Iranie.

Niepokój Kairu wzbudziły postanowienia konferencji bagdadzkiej — zakres sankcji, jakie podjęte zostały przez kraje arabskie wobec Egiptu. Jak wiadomo — zdecydowano m. in. o zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Egiptem przeniesieniu siedziby Ligi Arabskiej do Tunisu, wstrzymaniu wszelkich pożyczek, gwarancji i zobowiązań finansowych wobec Kairu oraz o zastosowaniu bojkotu ekonomicznego. Sadat pokładał nadzieje w rozbieżności zdań krajów arabskich i nie sądził, że uda się im uzgodnić stanowisko. Stało się inaczej. Zlekceważenie przez Kair postanowień szczytów w Algierze i Rabacie, a także apelu arabskich monarchów i prezydentów, aby z syjonistycznym wrogiem nie podpisywano jednostronnego i bardzo kompromisowego układu, który nie przynosi pokoju na Bliski Wschód, doprowadziło w pewnym sensie do konsolidacji świata arabskiego.

W Iranie — jak można było się spodziewać — **referendum przyniosło wolę zdecydowanej większości społeczeństwa utworzenia Republiki Islamskiej.**

W kraju tym, jak można wyczytać w projekcie konstytucji, będzie system prezydencki. Głowa państwa wybierana będzie bezpośrednio przez społeczeństwo i sprawować będzie równocześnie funkcję szefa rządu. Dopuszczona zostaje swoboda tworzenia partii, gwarantuje się równe prawa kobietom. Islam uznaje się za oficjalną religię kraju ale pozostawia możliwość praktykowania przez wyznawców innych religii.

W ciągu dwóch miesięcy — co właśnie oficjalnie zakomunikowano — **w Iranie odbędą się wybory powszechne,** w następstwie których wyłoniony zostanie nowy parlament.

Z natłoku wydarzeń ostatniego okresu wybierzmy jeszcze jedno. 3 kwietnia **władze pekińskie oficjalnie podały do wiadomości, iż nie zamierzają przedłużyć układu ze Związkiem Radzieckim,** którego termin upływa 11 kwietnia **1980 roku.** (Podpisany został w Moskwie w 1950 roku).

Fakt ten nie jest zaskoczeniem. Uprawiana już od wielu lat przez Pekin polityka wrogości wobec ZSRR sprawiła, że układ ten rzeczywiście stał się „martwym dokumentem". Jednakże strona, która na rok przed wygaśnięciem układu uprzedza, że go nie odnowi, bierze oczywiście na siebie wszelkie tego następstwa. Tym bardziej, że podane motywy tego kroku są niezgodne z prawdą.

Warto przy okazji przypomnieć, że ZSRR w 1971 roku proponował Chinom zawarcie układu o niestosowaniu siły, a w dwa lata później — układu o nieagresji. W obu wypadkach rząd chiński argumentował, że nie ma potrzeby ich zawierania ponieważ między obu państwami funkcjonuje układ o przyjaźni, sojuszu i wzajemnej pomocy. Obecnie z chińskiej inicjatywy układ ten traci moc. Jak z tej decyzji wynika, **Pekin zmierza rozmyślnie do dalszego skomplikowania dwustronnych stosunków.**

W. SŁAWSKI

ART BUCHWALD

SHOW W BIAŁYM DOMU

„Muszę się do czegoś przyznać. Zostałem zaproszony do Białego Domu na uroczystość podpisania przez Begina i Sadata „traktatu pokojowego" i w dodatku ani mnie, ani mojej żony nie kosztowało to grosza. Zrozumcie mnie, proszę, we właściwy sposób! Byłbym gotów — w ostateczności i moja żona także — wyłożyć tysiąc dolarów za takie zaproszenie. Ale w zaproszeniu, które otrzymałem, nie było mowy o zapłaceniu takiej sumy.

Można by to tłumaczyć wieloma względami:

— prezydentowi Carterowi bardzo przypadła do serca propozycja, z którą wystąpiłem w jednym z moich felietonów mianowicie, w jaki sposób można urzeczywistnić wycofanie izraelskich wojsk z Półwyspu Synajskiego;

— pomocnik prezydenta do łączności ze społeczeństwem próbuje zaskarbić sobie moją sympatię, żeby mnie włączyć w skład sztabu kierującego kampanią przedwyborczą Cartera w 1980 roku;

— komputer zatrudniony przy rozsyłaniu zaproszeń pomylił się i zamiast nazwiska: Brzeziński, wydrukował nazwisko: Buchwald;

— na obiedzie wydanym w Białym Domu z okazji podpisania izrealsko-egipskiego porozumienia było obecnych około tysiąca osób. Bardzo trudno byłoby stwierdzić, kto spośród gości zapłacił za zaproszenie, a kto otrzymał je bezpłatnie. Doszliśmy z żoną do wniosku, że Begina i Sadata na pewno nie proszono o złożenie datków, ale zastanawialiśmy się, czy prezydent nie zmusił swojej żony i matki, żeby wyłożyły po tysiączku.

Dama siedząca przy stole, obok mnie, spytała:

— Za kim pan jest: za Sadatem czy za Beginem?

Odpowiedziałem, że za prezydentem Carterem.

— A kto panią zaprosił? — zainteresowałem się z kolei.

— Kupiliśmy bilety w kasie „Teaketron". Wie pan, przyjechaliśmy z miasta La Fayette, w stanie Indiana, żeby obejrzeć Waszyngton i zatrzymaliśmy się w hotelu Hilton. W hotelowym kiosku z biletami spytałam, czy w Waszyngtonie jest dziś wieczorem coś interesującego do obejrzenia. Kioskarka zapoznała mnie z repertuarem Ośrodka im. Kennedy'ego, teatrów: „National Theatre" i „Arena Stage" oraz największych kin. Powiedziała także, że ma dwa miejsca po tysiąc dolarów na obiad w Białym Domu, wydany na cześć Begina i Sadata. Słysząc to, mój mąż wpadł we wściekłość: „Czy to aby nie za drogo za obiad, nawet w Białym Domu?" Ale odpowiedziałam mu: „Sadat i Begin dają tylko jedno przedstawienie. Poza tym do ceny biletów wkalkulowano napiwki".

Męża zainteresowało, gdzie znajdują się nasze miejsca i kioskarka pokazała nam plan stolików w namiocie na polance nie opodal Białego Domu. Miejsca te były bardzo oddalone od miejsc przeznaczonych dla Begina, Sadata i Cartera. Spytałam: „A nie macie lepszych biletów?" „Mam dwa miejsca obok Kissingera, ale są one przy kuchni" — odpowiedziała kioskarka. Wreszcie zdecydowaliśmy się wziąć zaproponowane wcześniej. A gdzie panu dało się zdobyć bilety?

Było mi wstyd przyznać się, że dostaliśmy je za darmo, więc powiedziałem:

— Nabyliśmy je w kasie biletowej przed Białym Domem. Stałem w kolejce dwie godziny.

— Cieszę się, że znalazłam się tutaj — wyznała moja sąsiadka przy stole. — Nigdy nie odwiedziliśmy Begina i Sadata w naszym La Fayette. Kiedy opowiem o tym obiedzie przyjaciółkom, zzielenieją z zazdrości. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżając do Waszyngtonu próbują zdobyć bilety na obiad w Białym Domu okazuje się, że wszystkie miejsca są już wyprzedane.

— W przeszłości trzeba było zapłacić około 10 tysięcy dolarów, żeby otrzymać zaproszenie na obiad wydawany przez partię demokratyczną czy republikańską. Teraz jednak, pod tym namiotem, na placyku przed Białym Domem, udało się obniżyć cenę zaproszeń do tysiąca dolarów. Nie zechciałaby pani jeszcze odrobinę tego befsztyka?

— Proszę, niech mi pan położy jeszcze kawałek. Ale przy sposobności — czy Begin i Sadat będą śpiewać?

— Uważam, że za 5 miliardów dolarów otrzymanych z tytułu pomocy wojskowej mogliby i zaśpiewać!"

(International Herald Tribune)

SAGA FABIANICH

Dalszy ciąg ze str. 1

Tradycja rodzinna przekazała wiadomość, że Feliks Fabiani należał do grupy powstańczej, która miała spalić most kolejowy na Warcie. Most był drewniany i zapewne nie strzeżony. Całą styczniową noc siedział Feliks w otwartym oknie, czekając wezwania. Wreszcie dobrze po północy poszedł szukać towarzyszy. Znalazł ich pijanych i śpiewających na całe gardło patriotyczne pieśni. Trzasnął drzwiami i wyszedł. Noc wyczekiwania w oknie kosztowała zapalenie płuc. Fabiani długo chorował. Do lasu nie poszedł. Dzięki temu zapaleniu płuc szkoła ocalała. Fabiani mógł się wylegitymować, że „w zamieszkach udziału nie brał". Gorzka to była legitymacja, no ale w ostatecznym rozrachunku z powinności obywatelskiej, stanowiła pozycję dodatnią.

Feliks Fabiani wynajął drewniany domek przy ul. Żabiej (dziś Żeromskiego). Zaangażował jednego nauczyciela, kolegę z radzymińskiego Instytutu, Ludwika Thilla. Pojął 16-letnią pannę za żonę. Młoda mężatka, musiała nie tylko niańczyć syna, ale i szorować ługiem podłogi w szkole, posypywać je potem — jak na wsi — piaskiem. Co dzień trzeba było „oprawić" wszystkie lampy naftowe. Co dzień trzeba było gotować. Nie tylko dla męża, ale i dla jedynego nauczyciela i dla uczniów, którzy do szkoły wędrowali z dalekiej wsi. I tak w domu Fabianich powstał zwyczaj, że każdy głodny dostawał tu jeść. W południe schodziła się różna biedota po miskę zupy.

Na początku było 22 uczniów. Niektórych Fabiani zwerbował z ulicy. Obserwując łobuzujących się chłopców przyzywał ich do siebie i pytał: — A nie chciałbyś chodzić do szkoły? Za darmo!

Kiedy pierwsi absolwenci zdawali egzamin do III klasy rządowego gimnazjum, liczba uczniów zaczęła rosnąć. Zaczęło go popierać społeczeństwo. Szybko stanął na nogi. Kupił murowany dom z placem przy ulicy Długiej 8 (dziś Fabianiego 5). Założył dla zamiejscowych internat, do którego zgłaszali się chłopcy z dalekich nieraz stron. Utarła się w kraju opinia, że „Fabiani w Radomsku z największego lenia i łobuza zrobi człowieka". Jeden z uczniów Fabianiego napisał: „W szkole panowała taka atmosfera, że po prostu nie wypadało być leniuchem czy łobuzem".

Po Fabianim nie zachowały się pisemne przekazy, a tylko ustna tradycja, wspomnienia wychowanków. Z ułamkowych informacji wynika, że system pedagogiczny Feliksa Fabianiego był mieszaniną poglądów Pestalozziego i omszałych tradycji pijarskiego szkolnictwa. Nauczanie opierało się na „korepetytorach", którzy w powierzonych sobie grupach pilnowali odrabiania lekcji, uzupełniali i wyjaśniali wykład nauczyciela oraz tekst podręcznika. Konsekwentne sprawdzanie wiadomości powodowało, że każdy uczeń szedł na lekcję przygotowany.

Wychowanie miało charakter patriarchalny. Cała rodzina Fabianich pomagała w opiece nad młodzieżą. Pan Fabiani przebywał nieustannie z młodzieżą. Wszystko widział, wszystko słyszał. Interweniował, wyjaśniał. Wychowywał swoim przykładem, a był wzorem pracowitości, sumienności, uczciwości. Znał potrzeby młodzieży, umiał trafić do niedojrzałych umysłów. I młodzież akceptowała postawę swego wychowawcy — to było bardzo ważne.

Po powstaniu styczniowym runęła na szkolnictwo fala prześladowań. Napór rusyfikacji stał się bezwzględny. I trzeba było dla inspektora czyhającego na pretekst do zamknięcia szkoły wkładać maskę lojalnego wykonawcy zarządzeń władz. A młodzieży trzeba było okazywać serce prawdziwego Polaka. W szkole nie wolno było mówić po polsku, ale poza szkołą nie tylko się mówiło, ale nawet śpiewało w języku ojczystym. W lasach radomszczańskich rozlegały się słowa ulubionej wówczas piosenki uczniów: „Jak to na wojence ładnie".

Do szkoły chodzili też Rosjanie — synowie miejscowych urzędników. Rzecz charakterystyczna, nigdy żaden z nich nie zdradził, jak to naprawdę jest w tej szkole. Więcej: raz po odczytaniu publicznym jakiejś odezwy do młodzieży, stwierdzającej, że „kraj przywiślański" jest i pozostanie na wieki rosyjskim — wstał jeden z uczniów, Rosjan i głośno powiedział: „To wszystko kłamstwo".

Feliks Fabiani żył życiem miasta. Założył straż ogniową i jeździł do pożarów, osobiście kierując akcją gaszenia. Interesował się każdym publicznym przedsięwzięciem. Był w pełnym tego słowa znaczeniu — obywatelem. I to młodzież też ceniła.

Inne usposobienie miał młodszy brat, Józef. I on ukończył szkołę wieluńską, ale potem poszedł do gimnazjum w Piotrkowie. W 1862 roku, gdy Feliks już założył własną szkołę w Radomsku, Józef zaczął uczęszczać do gimnazjum piotrkowskiego. W 1866 zapisał się do Szkoły Głównej, by studiować tam łacinę i grekę. Zetknął się z ludźmi, których intelekt przez wiele lat kształtował poglądy i postawy Polaków. Otworzył się przed nim bogaty świat antyku, rozległe horyzonty filozoficzne i historyczne.

Okres powstania spędził w Iwanowicach, gdzie pielęgnował chorego ojca i zastępował go w szkole. W 1870 roku, skończywszy wyższe studia, chciał pomóc bratu, więc zaczął pracować w jego szkółce w Radomsku. W 1874 osiedlił się w Piotrkowie i w tym samym gmachu, do którego niedawno chodził jako uczeń, rozpoczął lekcje łaciny i greki. Starożytność stworzyła dobrą okazję do krzewienia patriotyzmu. Analiza języka łacińskiego i greckiego pozwalała uzupełnić luki w znajomości gramatyki polskiej. A spod warstwy tych języków, które były obce, ale sercu Polaka miłe przez tradycję, można było wydobyć żywe postacie bohaterów antyku, głębokie myśli i refleksje.

W roku 1905, gdy Feliks Fabiani już nie żył, wybuchł słynny strajk szkolny. Józef Fabiani znalazł się w samym ognisku tego strajku. W jego obecności młodzież przedstawiła dyrektorowi gimnazjum, Chabarowowi, swoje żądania. W dalszym biegu wypadków Fabiani odegrał trudną, ale ważną rolę. Taktem i godnością powściągnął niebezpieczne zapędy rozjuszonych dostojników, a serdeczną rozwagą pohamował zbyt zapalczywe młode umysły. Strajk szkolny zmusił zaborcę do ustępstw. Otwarto polskie szkoły prywatne. Gdy taka szkoła powstała w Piotrkowie, Fabiani objął tam lekcje języków starożytnych. Doświadczeniem i autorytetem wspierał młode gimnazjum w trudnych momentach.

Wybuchła pierwsza wojna światowa. W 1915 roku rosyjskie gimnazjum ewakuowało się do Orła, w głębi Rosji. Do opuszczonego budynku pojezuickiego wprowadziła się polska szkoła. Upaństwowiono ją w 1919 roku, nadając jej imię Bolesława Chrobrego. Józef Fabiani został jej dyrektorem i funkcję tę pełnił do przejścia na emeryturę w 1924 roku.

FELIKS PRZYŁUBSKI

JÓZEF DWERNICKI

Niegdyś jego nazwisko było na ustach wszystkich. Generał Józef Dwernicki — jaki pisze o nim jego monografistka — „cieszył się sympatią i uznaniem u współczesnych i potomnych. Owa popularność wynikała chyba przede wszystkim z drogi życiowej tego kresowego szlachcica, a później zawodowego żołnierza. Zawsze, kiedy tylko trzeba i można było walczyć o Polskę, nie wdając się w rozważania o szanse powodzenia i w zawiłe gry polityczne, stawał do boju i — co ważniejsze — odnosił niejedno błyskotliwe zwycięstwo". Pozyskiwał ludzi cechami swojej osobowości. Był bowiem „człowiekiem przyjacielskim, dobrym kompanem, wzorowym opiekunem dla podkomendnych, nie pozbawionym wprawdzie wad, ale tego rodzaju, że nie umniejszały doń sympatii większości współczesnych mu i pozwoliły następnym pokoleniom umieścić go w panteonie bohaterów walk o niepodległość narodową".

Charakterystykę postaci generała przytoczyłem za interesującą książką Urszuli Wencel - Kalembkowej, zatytułowaną: „Działalność gen. Józefa Dwernickiego na emigracji w latach 1832—1848", wydaną przez Towarzystwo Naukowe w Toruniu (1978) w kolejnym tomie Roczników tej zasłużonej dla nauki polskiej placówki. Aż dziw, że choć o J. Dwernickim tylokrotnie wspominano — z postacią tą musiał się siłą rzeczy tak bądź inaczej zetknąć każdy badacz dziejów Wielkiej Emigracji — poświęcono generałowi bardzo niewiele wnikliwych, naukowych badań historycznych. A przecież na baczną uwagę historyków zasługuje nie tylko wojskowa kariera J. Dwernickiego w kraju, uwieńczona udziałem w powstaniu listopadowym, ale również — i to w nie mniejszej mierze — jego aktywność na wychodźstwie.

J. Dwernicki przybył na emigrację do Francji opromieniony sławą zwycięzcy spod Stoczka. Pojawił się później, niż inni, dopiero w 1832 r., kiedy w łonie polskiego wychodźstwa na ziemi francuskiej toczyła się zażarta walka polityczna i trwały zabiegi o utworzenie centralnej reprezentacji ogółu Polaków. Generał aktywnie włączył się do tych prac, stając na czele — jako prezes — Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej, organizacji, która jednak nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Pod koniec 1835 r. generał zdystansował się nieco w stosunku do ponawianych z różnych stron zabiegów o utworzenie ogólnoemigracyjnej reprezentacji. Wyciągnął — jak powiada autorka omawianej książki — wnioski z dotychczasowych niepowodzeń i „przekonał się chyba, że wychodźstwo zbyt się spolaryzowało politycznie, aby możliwe było utworzenie powszechnie uznanego organu zwierzchniego, nawet gdyby miał on głównie zajmować się sprawami zabezpieczenia jego codziennego bytu".

Rok 1836 otworzył nową fazę działalności generała: odtąd miał on „już tylko firmować cudze próby zjednoczenia wychodźstwa demokratycznego", co również nie uchroniło go od gorzkich doświadczeń. U. Wencel-Kalembkowa łączy tę zmianę z osobistymi perypetiami życiowymi J. Dwernickiego, który mając dobrze po pięćdziesiątce, zakochał się w osiemnastoletniej Francuzeczce, córce artysty malarza, zaręczył się z nią i ożenił. Współczesna korespondencja, jak również zapisy pamiętnikarskie informują dostatecznie dokładnie, jak wielką sensacją w emigranckim światku stał się ożenek generała.

J. Dwernicki będzie niebawem jednym z twórców utworzonej w 1836 r. Konfederacji Narodu Polskiego, ale nie odegra w niej zbyt aktywnej roli. Przez pewien czas będzie działał w Londynie, skąd w 1840 r. znowu powróci do stolicy Francji. Od 1837 r. był członkiem Zjednoczenia Emigracji Polskiej, w 1848 r. stanął na czele Komitetu Emigracji Polskiej, utworzonego na fali wydarzeń rewolucyjnych. Jesienią tego samego roku był już na ziemi ojczystej; witano go uroczyście we Lwowie. Siedemdziesięcioletni generał pragnął raz jeszcze, z bronią w ręku, stanąć do walki o wyzwolenie Ojczyzny. Po upadku Wiosny Ludów pozostał w Galicji, gdzie pędził skromny żywot, uwikłany w liczne spory z rodziną, mające podłoże majątkowe.

„Dwernicki nie był ani myślicielem politycznym, ani publicystą, toteż pozostawił po sobie mniej deklaracji i wypowiedzi niż inni współcześni mu przywódcy polityczni na emigracji. Zawsze stawiał jako cel główny swego życia i życia pokoleń, z którymi się związał, odzyskanie przez Polskę suwerennej niepodległości, i do tego naginał koncepcje rozwiązań społecznych, czerpiąc po prostu z repertuaru środków, wypracowanego przez ideologów demokracji emigracyjnej". Nieraz gubił się w bieżącej grze politycznej, nie miał w tej dziedzinie ani doświadczenia, ani pasji, ani pewnie i zdolności. Otwarcie sympatyzował z demokratami i swą postawą — jak domyśla się autorka omawianej książki — wpłynął z pewnością na demokratyzację zapatrywań niejednego z byłych wojskowych — emigrantów. Był konsekwentnym rzecznikiem walki o wolną Polskę w oparciu o własne siły, drogą zbrojną. I dlatego — jak powiada jego monografistka — za życia i po śmierci jest „symbolem człowieka gotowego zawsze do walki o niepodległość".

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZAPOZNANY POETA

Gdy 21 maja 1904 r. na deskach łódzkiego teatru „Victoria", wówczas pod dyrekcją Mariana Gawalewicza, wystawiono dramat w trzech aktach pt. „Samson", jego autor — ksiądz Antoni Szandlerowski należał już do postaci, jeśli jeszcze nie sławnych, to znanych i cenionych w kręgach literacko-artystycznych miasta. Nie był łodzianinem z urodzenia ani z wyboru. Pochodził z Mazowsza, po studiach teologicznych w Warszawie i Rzymie, zakończonych uzyskaniem święceń kapłańskich, w 1901 r. przybył do Łodzi by objąć stanowisko wikarego przy kościele Św. Krzyża. Tym niemniej Łódź zajmuje w biografii literackiej Szandlerowskiego miejsce szczególne. Tutaj prawdopodobnie zaczęły powstawać pierwsze utwory. Debiutował na łamach „Rozwoju", w którym obok poezji zamieszczał także utwory publicystyczne. W Łodzi zetknął się Szandlerowski po raz pierwszy ze Stanisławem Przybyszewskim. Nastąpiło to być może w roku 1904, kiedy to Henryk Grubiński wystawiał w łódzkim teatrze jego dramaty. Przybyszewski, z którym przez wiele lat utrzymywał ożywione kontakty korespondencyjne i poznany nieco później Józef Jankowski, poeta i teozof, wywarli swoją twórczością decydujący wpływ na ukształtowanie się poglądów literackich i estetycznych młodego księdza — poety.

Antoni Szandlerowski wg rys. Antoniego Gawińskiego.

Twórczość poetycka i dramatopisarska Antoniego Szandlerowskiego, wysoko oceniana przez współczesnych, jest już dzisiaj niemalże nieznana, zapomniana. A przecież stawiano go wówczas, obok Wyspiańskiego, w rzędzie największych poetów epoki! W Łodzi, gdzie dopiero zaczęło wykształcać się życie literackie, Szandlerowski objawił się jako poeta wybitny, indywidualność niezwykła i egzotyczna, jakby przez przypadek rzucona na bruk „ziemi obiecanej". Wszystko to jak również późniejszy skandal wokół jego osoby, złożyło się na dużą popularność, jaką w krótkim czasie zdobył sobie ten pierwszy łódzki przedstawiciel moderny. „Samson", tak przez krytykę, jak i publiczność, przyjęty został z dużym zainteresowaniem. A że popularność dramatu była niemała, świadczyć może fakt wystawienia go w jednym ze stołecznych teatrzyków ogródkowych tuż po łódzkiej premierze przez Czesława Jankowskiego. Szandlerowski, daleki od szukania taniego poklasku, zareagował wówczas niezwykle ostro, wytoczył proces Jankowskiemu o zbyt popularną, obniżającą wartości artystyczne, inscenizację dramatu. To były czasy.

Trzeba jeszcze wspomnieć o niedoszłym łódzkim debiucie książkowym Antoniego Szandlerowskiego. Księgarnia wydawnicza „Rychlińskiego i Wegnera", mająca w dorobku wiele ambitnych tomików poetyckich, m. in. wydane bardzo starannie w 1903 r. wiersze Aleksandra Mogilnickiego pt. „Z jasnych dni" przyjęła do druku „Samsona". Edycja dramatu, ilustrowana przez Wacława Przybylskiego miała wyjść w 1905 r. Niestety na skutek bankructwa firmy książka nie ukazała się, a szkoda, gdyż w późniejszych wydaniach tego dramatu jest brak.

Rok 1905 nie był dla Antoniego Szandlerowskiego rokiem pomyślnym. Jakby nie dość było zaprzepaszczenia możliwości opublikowania pierwszego większego dzieła, doszła do tego konieczność opuszczenia Łodzi. Popularność, sukcesy artystyczne i związki z kręgami młodopolskiej bohemy nie licowały, zdaniem przełożonych, z piastowanymi godnościami kapłana i duszpasterza. Ksiądz Szandlerowski zostaje przeniesiony do niepozornej, prowincjonalnej parafii w Goszczynie, niedaleko Grójca. Kończy się łódzki epizod biografii. nie ustają jednak kontakty z miastem. Szandlerowski utrzymuje bliskie związki ze środowiskiem literackim, koresponduje z przyjaciółmi i wydawcami, jest obecny na łódzkiej scenie. Przez cały ten czas pisze. Powstają nastrojowe, przepełnione mistycyzmem liryki, wydane w zbiorku „Sąd wam niosę" (Warszawa 1907), poematy dramatyczne napisane w 1906 r.: „Paraklet" i „Maria z Magdalii", „Tryumf", poetyckie listy do poznanej właśnie „Bożenny" — Heleny Beatus, zebrane po śmierci autora w tomie „Confiteor" (Warszawa 1912). Wyrazem zainteresowań naukowych Szandlerowskiego jest archeologiczne studium pt. „Rzym" Mozaika jako starochrześcijańska sztuka bazylikowa" (Warszawa 1911), efekt podróży do Włoch i Francji, odbytej w latach 1909—1910.

*

Bibliografowie Szandlerowskiego odnotowują jeszcze jeden utwór księdza, wydany anonimowo i bez podania miejsca druku w 1906 r., ale napisany prawdopodobnie już rok wcześniej. Jest nim „Elenchus cleri alias choleri pro A. D. 1906, gdzie najdzie sprośne żywoty braciey konsystorskiej" — zjadliwy paszkwil na przedstawicieli warszawskiego konsystorza, zemsta za wymuszenie do wyjazdu z Łodzi. Zresztą autor jeszcze wielokrotnie będzie zmieniał miejsce pobytu, wędrując z Goszczyna kolejno do Mąkolic, Kampinosu, Pustelnika, wreszcie do Grochowa, położonego w pobliżu Kutna.

W 1906 r. na scenie łódzkiej wystawiono poemat dramatyczny w czterech aktach pt. „Paraklet". W rok później na konkurs, ogłoszony przez Polskie Towarzystwo Teatralne i redakcję „Rozwoju" Szandlerowski nadsyła dwa utwory: „Marię z Magdalii" i „Tryumf sztuki". Ten ostatni zdobywa wówczas pierwszą nagrodę, a obie sztuki trafiają na scenę miejscowych teatrów. Zwłaszcza „Tryumf", wystawiony 13 maja 1907 r., jak pisze recenzent „Rozwoju" Stanisław Kamiński, „na licznie zgromadzonej publiczności wywarł potężne wrażenie".

Antoni Szandlerowski zmarł 8 stycznia 1911 r. w Grochowie. Już w roku następnym ukazał się pierwszy tom jego „Pism", poprzedzony przedmową przyjaciela — Józefa Jankowskiego. Edycja, przygotowana z dużą dbałością, nie bez próby nadania jej cech wydawnictwa wytwornego, objęła cztery tomy: 1. „Poezje", 2. „Confiteor", 3. „Paraklet", 4. „Maria z Magdalii. Tryumf".

Lata Wielkiej Wojny i późniejsze nowatorskie prądy w literaturze nie były łaskawe dla poetyki proponowanej przez Szandlerowskiego. Kwitowany wprawdzie pochlebnymi ale lakonicznymi wzmiankami w ogólnych podręcznikach literatury polskiej, należy już dzisiaj do zapomnianych zjawisk literackich okresu przełomu stuleci. Czy pozostawił naśladowców? Ludwik Stolarzewicz, autor „Literatury Łodzi w ciągu jej istnienia" dopatruje się wpływu autora „Parakleta" na twórczość łodzianina — Tadeusza Janowskiego (zmarł w 1913 r.), który pozostawił po sobie rękopiśmienny zbiorek liryków zatytułowany „Fragmenty poetyckie".

MAREK CZECHOWSKI

ŁESIA UKRAINKA

KU WIECZNEJ PAMIĘCI ARKUSIKA SPALONEGO PRZYJACIELSKĄ RĘKĄ W NIEPEWNYCH CZASACH

Zarzewiem byłaś, moja pieśni cała!
Ledwo cię śpiewać zaczęłam, nieboga,
żarem się moje zapaliło oko
i rozgorzała w mych piersiach pożoga.
Chciałam cię ukryć w mym sercu głęboko,
lecz nie zmieściłaś się w serduszka cieśni...
Zarzewiem byłaś, miła moja pieśni!

Prawda: zarzewiem pieśń ta moja była.
Gdy towarzyszka śpiew mój usłyszała,
jako kwiat róży płonęły jej lica
i cicha iza się zaskrzyła w źrenicach
od niewstrzymanych, gorących mych słów,
i wnet podana mi ręka zadrżała...
Och, byłaś, pieśni ma, zarzewiem ciała!

Za nadtoś, pieśni ma zarzewiem była!
Gdy zegar trwogi wydzwonił godzinę,
stało się pastwą pożaru me słowo
i spopieliło lichą papierzynę...
W pogorzelisko pieśń się zamieniła.
Spójrzcie, iskierka rozbłysła na nowo!
Zanadtoś, pieśni ma, zarzewiem była!

WROGOM

(fragment)

...Te oczy, co tak bardzo już przywykły
upuszczać wzrok, wylewać ciche łzy,
miotają teraz iskry, błyskawice —
czy dziki blask ich wcale was nie trwoży?
A ręce, do oręża nieprzywykłe,
co dotąd ufne i otwarte były,
szukając tylko przyjacielskiej dłoni,
teraz się zwarły pełne złości gniewu —
czy obojętne wam takie pogróżki?
Usta dotychczas słodko śpiewające
o rzeczach słodkich albo cichych żalach,
dzisiaj z wściekłością drżą i głos wydają
niesamowity, jakoby syk żmiji —
a nuż ich język żądłem was ugodzi?...

* * *

...I tak przeżyłam całą długą zimę.
Minęła zima i nastała wiosna —
a dla mnie każda pora obojętna
Mój czas tak płynie cicho, ciuchuteńko,
jako po stawie płynie uschłe liście.
Dziwne to życie... Gdyby czasem serce
nie drgnęło żywym żalem i boleścią,
nie miałabym pewności, czy też żyję,
czy życie marzy mi się pośród snu.

Te cztery ściany ciasno ogrodziły
mnie dookoła: to mój cały świat.
Tam, za mym oknem, słyszę, jak świat inny
szumi rozbrzmiewa codzienną swą mową.
Turkot powozów oraz ludzkie głosy,
dzwonki tramwajów, skowyt lokomotyw
zlewają się w drgającą jakąś nutę
jak tremolo orkiestry symfonicznej.
I w dzień i w noc rozbrzmiewa ta muzyka.
Jak hałasuje świat za moim oknem!
Ja go nie widzę, bo dla mnie widoczna
jedynie cząstka rzeźby ponad bramą,
a i topola z pobliskiego parku,
przez nią niekiedy przezierała zorza...
I tyle nieba widzę, ile w oknie.

A teraz wiem, że już nastała wiosna,
słowiki bowiem klaskają gdzieś w dali,
na drzewach młode iskrzy się listowie,
a zza topoli nie wyziera zorza.
Dawniej wiedziałam, że zima na dworze,
bo migotały za oknem śnieżyczki,
srebrne obrazy kwitnęły na szybach.
Oto oznaki każdej pory roku...

I żal mi i rozmyślam sobie w żalu:
czy nie tak, jak obecnie widzę wiosnę,
widziałam kiedyś młodość i kochanie
i wszystko to, od czego wszak piękniejąa
lata ludzkiego, ubogiego życia...
Wszystko to było — ale tam, za oknem.

Przełożył: HORACY SAFRIN

NIEDZIELA

BOŻENA GOGOLEWSKA

Najgorsze były niedziele. Spała dłużej, ponieważ nie budził jej poranny jazgot u sąsiadów — wypiłeś mleko, pośpiesz się, co ja mam z tym dzieckiem. Sąsiad nie odzywał się, trzaskał tylko drzwiami. To trzaskanie było okropne. Wciągała pierzynę na głowę, ale robiło jej się natychmiast duszno i mamrocząc pod nosem przekleństwa, wstawała. Trwało z godzinę, zanim napiła się herbaty, gdyż w bałaganie nie można było odnaleźć filiżanki. Mogłaby posprzątać i tak nie miała nic lepszego do roboty, ale nie chciało jej się. Od kiedy umarł Wiktor, na nic nie miała ochoty Wiktor pracował w teatrze, był bileterem i czasem zabierał ją na przedstawienia. Ostatnio coraz rzadziej, ponieważ reagowała bardzo spontanicznie, płakała, śmiała się i głośno doradzała aktorom, co powinni zrobić. „Kiedyś byłaś mądrzejsza", mówił Wiktor. Wiktor miał gdzieś tam w świecie rodzinę, z którą nie utrzymywał kontaktów. „To prostaczki". powiedział kiedyś niechętnie. „Nigdy nie mogli zrozumieć mojej artystycznej duszy. Że czasem wypiję? Po paru głębszych miewam wspaniałe wizje". Wierzyła, że mógłby stworzyć taki teatr, jakiego nigdy nie było, ale czy to dzisiaj dopuszczą do głosu prawdziwy talent? Zresztą, Wiktora już nie ma, po jego śmierci przyjechał jakiś facet w średnim wieku, oświadczył, że jest synem i zabrał obrączkę, zegarek oraz radio tranzystorowe. Nic innego nie znalazł. Właśnie wtedy zaczęła bać się niedziel. W tygodniu można było wejść do jakiego bądź sklepu, albo jeszcze lepiej do baru. W tłumie śpieszących się ludzi było znośnie, nawet nie mieli czasu jej się przyglądać, a jak ktoś był bardzo wrażliwy, to przesiadał się do innego stolika. Co innego niedziela. Wszystko pozamykane, wystrojony naród gromadzi się co najwyżej na przystankach, a na drogie lokale nie było jej stać. Gdyby nawet wyciągnęła spod podszewki te wygniecione stuzłotówki, które trzyma na czarną godzinę, to i tak nic z tego. Żaden szatniarz nie wpuści jej za daleko... Włóczyła się więc z kąta w kąt potykając co chwila o porozrzucane łachy i gdy tylko zaczynało zmierzchać, właziła z powrotem pod pierzynę. Byle do rana. Pewnej niedzieli zbuntowała się. Wyciągnęła spod łóżka wielkie pudełko i długo w nim szperała. Nareszcie wybrała najwspanialszą kreację. Oto, czego mi trzeba, pomyślała Gnuśnieję, wspominam tego starego pijaka, Wiktora, a tymczasem prawdziwe życie przede mną. Przecież wiadomo, że wszystko mi się śniło. Romek, Józek i Wojtek, głupota jakaś. To na pewno Wiktor wymyślił taką sztukę, w której miałam trzech synów i wszyscy naraz zginęli od jednej bomby. Może zresztą nie Wiktor, wtedy go jeszcze nie znałam. Stałam przed rozwaloną chałupą i krzyczałam. Krzyczałam, dopóki nie przyszedł jakiś taki i nie powiedział — Czego się drzesz, głupia, to i tak na nic. Ten Wiktor to miał fantazję, no, no. Co to ja chciałam? Aha, na spacer idę. Jestem elegancka i wytworna, jak prawdziwa pani. Idę.

Kroczyła powoli, pilnie wpatrując się w przechodniów i szukając na ich twarzach oznak uznania. Popołudnie, jak na złość było deszczowe i mało kto wychodził na ulicę, a ci nieliczni, których napotkała, nie zwracali na nią uwagi. Dopiero przed trzecim z kolei rogiem jakaś kobieta potrącona przez nią łokciem, zatrzymała się.

— Czy pani czegoś ode mnie chciała? — spytała życzliwie.

— Ależ skąd — odparła, z godnością poprawiając kapelusz. Tamta dopiero wówczas spostrzegła jej strój i z okrzykiem przerażenia cofnęła się do tyłu. Miała przed sobą siwą staruchę w czerwonej, aksamitnej sukni do ziemi. Starucha manipulowała koło wielkiego kapelusza z rondem i uśmiechała się złośliwie zza czarnej woalki.

— Czego się tak gapisz? — zasyczała. Kobieta ruszyła do przodu, omijając ją ostrożnie bokiem. Krzyknęła za nią: — Pewnie ze wsi przyjechała, wszystkiemu się tak dziwi. A tę suknię Wiktor specjalnie dla mnie przyniósł, ciekawam, czy ty kiedy taką dostaniesz.

W domu przewiesiła suknię przez oparcie krzesła. Kapelusz położyła na stole. Z przemoczonego aksamitu skapywały na brudną podłogę wielkie krople wody. Te krople zamieniały się w kałuże, kałuże łączyły się z sobą i wkrótce siedziała nad rzeką. Romek, Józek i Wojtek bawili się opodal, pomyślała nawet, że pewno głodni, ale przecież niedziela i wszystko zamknięte. Jutro pójdą do baru.

NA BALKONIE

Jest tam koń z wyskubaną grzywą, zardzewiały wózek dla lalki oraz duże, tekturowe pudło, wypełnione piaskiem. Do pudła załatwia się Mruczek, jeśli jest akurat w domu. Ostatnio, wraz z przedwiośniem przyszła mu chęć na amory. Znika na parę dni, a potem nic, tylko by spał na poduszce, haftowanej w róże. Przed Mruczkiem na tej samej poduszce sypiała Perełka, ale to stare dzieje. Nawet wspominać nie warto, bo ilekroć pomyśli o wiernej kundlicy, łzy same napływają do oczu. Ściera je wierzchem powykręcanej reumatyzmem dłoni. Aż się wierzyć nie chce, że te o tych rękach mówiono — stworzone do klawiatury. Matka pilnowała bardzo, aby ich sobie nie przeforsowała, sama szorowała podłogi i paliła w piecach... „Ćwicz, ćwicz — mówiła. Ja tam jestem prosta baba i żadna robota mi nie zaszkodzi, ale ty! Na wielką panią rośniesz! Ćwicz".

No i ćwiczyła, a z tych wprawek i etiud tyle wyszło, że dawała prywatne lekcje po domach. „Dobrze, że mama już tego nie widzi" myślała popijając cienką, gościnną herbatkę po którejś z kolei lekcji, męczona potwornym bólem głowy i uśmiechnięta, żeby skwaszoną miną nie zrazić do siebie chlebodawcy. Pod koniec roku organizowała u siebie popisy uczennic. Rodzice chrupali ciastka i bili brawo, dziewczynki chichotały nerwowo, ona trzymała za każdą kciuki Po pierwsze, jeśli się której nie powiedzie, to pretensje będą do nauczycielki, po drugie zaś naprawdę lubiła to niewielkie grono swoich uczennic. Do ostatniej dziesiątki straciła serce właśnie przed popisem. Przyszły pomagać w przyrządzaniu chrustów i zgromadziwszy się w kuchni, oświadczyły.

— Ale Perełkę na czas uroczystości koniecznie musi pani usunąć. Śmierdzi. —

Perełka była już wówczas chora, oddawała mocz razem z krwią i istotnie było trochę czuć, jednakże to życzenie wydało się kobiecie tak bezduszne i prostackie, że zareagowała na nie bardzo gwałtownie. Po prostu, wyrzuciła je wszystkie za drzwi, wyzywając od małp i perfumowanych idiotek. Popis został odwołany i lekcje skończyły się raz na zawsze. Niedługo potem Perełka zdechła. Siedząc w kucki nad stygnącą suką po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy dobrze zrobiła, odgradzając się od mężczyzn. Chłopcy z pewnością nie są czuli na wonie, a i pies byłby może silniejszy i pożyłby dłużej. Uświadomiwszy sobie o czym myśli, poczuła się jak zdrajczyni, zmówiła modlitwę za zmarłych i poszła spać z poczuciem winy. Jednak raz wylęgła myśl, że może trzeba było inaczej, pojawiała się odtąd coraz częściej. Nawet kilkakrotnie śnili jej się mężczyźni i to w sytuacjach dwuznacznych. Po przebudzeniu czuła się wprawdzie nieswojo, lecz w jakiś dziwny, przyjemny sposób. „Jesteś niepoważna" karciła się w duchu, spożywając śniadanie. „Matka powtarzała, że chłop to tylko chce wykorzystać." Przekorny chochlik w niej odpowiadał: „Ale matka najpierw pozwoliła się wykorzystać i dopiero potem zaczęła narzekać, ty natomiast przyjęłaś jej słowa na wiarę"

Wreszcie dała za wygraną. Sprawiła sobie blond perukę, zaczęła malować wargi i paznokcie i pełna oczekiwania wpatrywała się we wszystkich, spotykanych przypadkiem mężczyzn. Mimo to, nie zdarzyło się nic, co mogłoby odmienić jej los. „Za późno" myślała z rozpaczą. „Żadne sztuczki nie zdołają ukryć faktu, że przekroczyłam sześćdziesiątkę". Z usług któregoś z biur matrymonialnych wstydziła się skorzystać. Kiedy zaczęła już popadać w depresję, pod drzwiami piwnicy znalazła Mruczka. Był przemarznięty i wyglądał żałośnie. Wśród futerka przeświecały place nagiej, pokrytej strupami skóry. Długo trwało, zanim go odchuchała i doprowadziła do stanu kociej wspaniałości. „Mam kota. „cieszyła się. „Kota, nie kocicę. I lubi mnie na pewno, bo przecież mruczy na moich kolanach".

Pewnego dnia Mruczek gdzieś się zawieruszył, zdarzyło mu się to po raz pierwszy, toteż była zmartwiona i, co tu ukrywać, rozczarowana. Siedziała wtulona w sam kąt wersalki i powtarzała: Miałaś rację mamo. Przestałam ci wierzyć i za to spotkała mnie kara. Ale to nieważne, byle on wrócił, byle tylko wrócił... Mruczek nie wrócił sam, przyniosła go sąsiadka, która siorbiąc głośno herbatę z rumem, powiedziała:

— Z pani to jeszcze szykowna kobieta, co to musiało być za młodu. Aż dziw, że pani za mąż nie wyszła. —

Zrobiło jej się bardzo przykro, i sama nie wie, jak to się stało, że patrząc prosto w ciekawskie ślepia tamtej, odparła:

— Jakże to, za mąż nie wyszła? To pani nie wie, że jestem wdową? —

— Co też pani powie. — zdumiała się sąsiadka.

— I dzieci mam. Dwoje. — kłamała dalej, czując niezwykłą satysfakcję na widok zdumienia swego gościa.

— No i patrz pani, czego ludzie nie wymyślą. Nic, tylko stara panna i stara panna. —

— Ludzie, jak to ludzie. — powiedziała pogodnie, odprowadzając sąsiadkę do drzwi. — Czego nie wiedzą, to dopowiedzą. A za odniesienie kota pięknie dziękuję, bo co to by za nieszczęście było, gdyby się wnuczka dowiedziała, że zginął.... —

Konika i wózek dla lalki znalazła na śmietniku trzy domy dalej, przyniosła do domu późnym wieczorem wyreperowała i wystawiła na balkon, żeby wszyscy widzieli. O zmierzchu wygrywała czasem jednym palcem „Wlazł kotek na płotek" i przemawiała głośno do pianina: „No ćwicz, ćwicz. Zupełnie nieźle ci idzie. Babcia tak zaczynała i twoja mama. I nawet wujek, chociaż wolał chodzić z dziadkiem do cukierni".

FILM

LILLIAN I JULIA

Ten film zrodził się z rzeczywistych zdarzeń, z prawdziwych powikłań ludzkich losów w najbardziej dramatycznej epoce XX-wiecznej cywilizacji. Historia w nim opowiedziana zdarzyła się naprawdę, ale zanim trafiła na ekran, została opisana w opowiadaniu znanej dramatopisarki i scenarzystki amerykańskiej Lillian Hellman. W wydanym przed kilku laty tomie opowiadań pt. „Pentimento", Hellman wraca do wspomnień młodości, do początków kariery literackiej, a także okresu dojrzałości związanego z walką przeciwko mccarthyzmowi w USA. Opowiadanie „Julia" jest w tym zbiorze najbardziej osobiste, bo poświęcone tragicznemu losowi najserdeczniejszej przyjaciółki pisarki z lat młodzieńczych.

Kim była Julia? Młodą arystokratką szkocką, która zaczęła studia medyczne w Oxfordzie w połowie lat 20, by potem kontynuować je w Wiedniu, studiując psychoanalizę pod kierunkiem prof. Freuda. Młodsza od niej o kilka lat Lillian marzy o karierze literackiej, pragnie zostać sławną dramatopisarką. Los rozdziela obie przyjaciółki. Julia pada ofiarą nazistowskiego terroru, pozbawiona nogi inwalidka podejmuje w faszystowskich Niemczech heroiczną próbę ratowania innych, włącza się w ruch oporu — i ginie w tajemniczych okolicznościach.

Tę fabułę przełożył na ekran Fred Zinnemann, nestor Hollywoodu, któremu nie były obce doświadczenia opisane przez Hellman. Zinnemann w latach 30 wyemigrował z Austrii w obawie przed brunatnym niebezpieczeństwem. Warto zauważyć, że pierwszym filmem, który przyniósł mu sławę był „Siódmy krzyż", adaptacja głośnej powieści antyfaszystowskiej pióra Anny Seghers dokonana w 1944 r. Z nazwiskiem Zinnemanna łączy się nierozdzielnie charakterystyczna wersja amerykańskiego humanizmu. W najciekawszych jego filmach w centrum obrazu stoi samotny człowiek sprzeciwiający się bezprawiu, złu, przemocy, nietolerancji. Tak jest np. w „W samo południe", gdzie poetyka westernu posłużyła reżyserowi do ukazania sytuacji politycznego terroru w Ameryce lat 50.

Zinnemann w autobiograficznym opowiadaniu Lillian Hellman znalazł zatem problematykę, bohatera i moralną atmosferę, która jest mu bardzo bliska. Jednakże pierwszoplanową bohaterką filmu nie jest Julia, lecz narratorka opowiadania — Lillian. Historia przedstawiona w opowiadaniu i odtworzona w filmie rządzi się logiką pamięci, jest wspomnieniem przywołanym raz jeszcze w artystycznej formie w celu zrozumienia ponurej tajemnicy śmierci Julii i motywacji jej życiowej drogi. Być może film byłby ciekawszy, gdyby jego głównym wątkiem był los Julii, być może jednak popadłby dzięki temu w stereotyp. Trudno powiedzieć. Respektując kompozycję opowiadania Zinnemann stworzył film o tkliwej, pełnej szlachetnych uczuć przyjaźni dwojga kobiet. Przyjaźni, która pozbawiona jest damskiej czułostkowości i emocjonalnego banału, lecz sprawdza się i potwierdza w realizowanej zdolności do najwyższych poświęceń.

Jednym z tematów tego bogatego w znaczenia utworu jest konfrontacja młodzieńczych planów i marzeń rozwijanych w idyllicznym dzieciństwie z koszmarem Historii, z nieuniknionym fatalizmem losu, który z brutalną siłą miażdży wszelkie humanistyczne ideały. Faszyzm w filmie Zinnemanna ma posępne, lecz zarazem nieco operetkowe oblicze, trudno w każdym razie oprzeć się wrażeniu, że amerykańska perspektywa opisu europejskiej hekatomby jest cokolwiek zmiękczona, że interpretacja rzeczywistego heroizmu Julii wyrasta z mentalności rooseveltowskiej lewicy, która nieodmiennie kojarzy się z ideałami skautingu.

Jest to również film o konfrontacji dwóch postaw życiowych, które wybitny psycholog amerykański Erich Fromm, autor głośnej pracy o źródłach faszyzmu „Ucieczka od wolności" określa w swojej ostatniej książce alternatywą zawartą w jej tytule „Mieć albo być?". Lillian pragnie „mieć" — marzy o sławie literackiej, powodzeniu, sukcesie w europejskich salonach i swoje marzenia w pełni realizuje. Julia chce „być", czyli — według Fromma — istnieć dla innych, dzielić się z nimi, kochać. Dzieje przyjaźni obu kobiet, to również historia wielkiej fascynacji Lillian postawą Julii. Dla niej podejmuje Lillian wielkie ryzyko przewiezienia przez niemiecką granicę do Berlina pieniędzy Julii dla ratowania ludzi z koncentracyjnych obozów. To pod wpływem Julii Lillian, czyli Hellman, włącza się aktywnie w ruch antyfaszystowskiej lewicy — m. in. pisze wraz z Ernestem Hemingwayem komentarz do głośnego filmu dokumentalnego Jorisa Ivensa „Ziemia hiszpańska".

Wreszcie „Julia" jest filmem, który raz jeszcze wskrzesza literacką mitologię „lost generation", „straconego pokolenia" amerykańskich intelektualistów — Hemingwaya, Fitzgeralda, Dos Passosa, Gertrudy Stein — które w międzywojennej Europie, tworzyło dramatyczny zapis historii, topiąc swoje frustracje w alkoholu i jazzie. W filmie istotnym wątkiem jest historia literackiego małżeństwa Hellman ze znakomitym autorem powieści kryminalnych Dasheillem Hammettem, który był pierwszym, niezwykle surowym i wymagającym krytykiem jej dramatopisarskich prób.

Z tych kilku tematów składa się ten niezwykły, przejmujący i piękny film, wspomnienie z przeszłości i jej tragiczne świadectwo.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

O POLSCE PO UKRAIŃSKU

Istnieje w Polsce niewielka grupa ludzi piszących po ukraińsku. Należą oni do ukraińskiej mniejszości narodowej, zamieszkującej wschodnie tereny Polski i skupiającej swój aktyw kulturalny w Ukraińskim Towarzystwie Społ.-Kulturalnym. Twórczość ukraińskich pisarzy treścią i tematem związana jest z glebą, na której wyrosła, forma zaś wyraża silną więź z tradycjami ukraińskiej literatury narodowej. Każdy z tych pisarzy szedł własną drogą do literatury, reprezentując inny styl pisarski.

Ewgen Samochwalenko urodził się w 1917 roku w Rosji, mimo to korzenie jego poezji sięgają ojczystych ukraińskich źródeł i mają w sobie melodykę ludowych pieśni. Już Gogol zauważył, że nigdzie nie śpiewa się tyle i tak pięknie, jak na Ukrainie. Pieśń ludowa — to żywioł, który przenika duszę i byt Ukraińca. Wszystko co go otacza, do czego przykłada swój wysiłek, jak choćby barwny haft na ręczniku czy drewniany ornament chaty, noszą ślady dum i dumek ludowych śpiewanych przez siwych bandurzystów. Ukraińca można zawsze poznać po jego pieśniach, a wiersze Samochwalenki jak soczewka ogniskują piękno ukraińskiego folkloru. Znajduje to również odbicie w języku jego poezji — metaforycznym i muzykalnym do takiego stopnia, że wiersze te z trudem poddają się przekładom. Wiadomo na przykład, że „Rewe ta stogne Dnipr szyrokij" Tarasa Szewczenki tłumaczone było na wszystkie słowiańskie języki, że nad przekładem trudzili się znakomici poeci, a jednak żaden z przekładów nie osiągnął doskonałości oryginału, żaden nie był w stanie przekazać jego melodyjności, organicznej jednościsłości, myśli i intonacji, będącej nieodłączną cechą prawdziwej poezji.

Niewątpliwie, współczesna poezja ukraińska, w równej mierze co polska czy rosyjska, odczuła wpływ poetyckiej awangardy ostatnich dziesięcioleci, jej wyraz formalny stał się bardziej złożony. Wśród pisarzy Ukrainy najwyraźniej odczuwa się to w twórczości Wasyla Simonienki, Iwana Dracza, Mikoły Winogranowskiego i jeszcze paru innych poetów, lecz w równej mierze, co nowoczesność formy utwory ich oddają ducha narodowej kultury ukraińskiej. Nawet najbardziej awangardowe wiersze Dracza wyrastają z melodyjnej ukraińskiej intonacji. Wydaje się, że o tej poezji można powiedzieć to samo, co o kompozytorzę i muzyce — tworzy ją cały naród, artysta ją tylko przetwarza.

Wśród omawianej grupy pisarzy najbardziej różnorodna jest twórczość Ewgena Samochwalenki. Jego wiersze, aforyzmy, przekłady świadczą o sporym talencie. Przekłady z Leśmiana, Gałczyńskiego, Tuwima i Broniewskiego nie są wyborem przypadkowym, świadczą raczej o literackiej biografii Samochwalenki. Mimo, iż — jak powiedziano wyżej — autor idzie od źródeł ukraińskiej tradycji narodowej, to tomik jego wierszy przecież dość konkretnie mówi o genealogii poetyckiej jego twórcy, nie przypadkowo również nosi tytuł „Nad Wisłą". To, co Samochwalenko pisze po polsku, ma wyraźny związek z dziedzictwem poetyckim Staffa. Leksyka, metafory, rytm są jakby powtórzeniem niektórych wierszy Staffa. „Kołysanki" Samochwalenki są śpiewne i przez to bardzo tradycyjne. Poezja nie raz wykorzystywała melodykę kołysanek ludowych do tworzenia śmiałych nowatorskich dzieł literackich, które przez czytelnika masowego były później uznane za ludowe. Tak stało się na przykład z wierszem Puszkina „Burza niebo mgłą pokrywa", Lermontowa „Śpij, chłopczyku mój cudowny" czy Majkowa „Śpij, dzieciątko moje, uśnij". Współcześni poeci polscy również sięgają do formy kołysanek, ale jest to już odejście od tradycji ludowych. Igor Sikirycki w „Partyzanckiej kołysance" przetwarza tradycyjność w nowoczesność — las staje się kołyską, która ma utulić partyzantów do snu po ciężkim bitewnym trudzie. A Jerzy Harasymowicz przetworzył nawet rytm kołysanki, uwalniając go od usypiającej śpiewności („Faun na Plantach").

Czy współczesna poezja polska ma duży wpływ na twórczość ukraińskich poetów w Polsce? I tak, i nie. Poezja mniejszości narodowych wykazuje raczej silne ciążenie ku narodowej tradycji literackiej. Trudno jej stać się poezją awangardową. To zrozumiałe. Eksperymenty możliwe są tylko wtedy, gdy twórca znajduje się w ojczystym żywiole językowym i kulturowym. Z drugiej jednak strony nie może ta poezja pozostać obojętna wobec wszystkiego, co ją otacza, nawet jeśli jest to inny żywioł literacki. Dlatego też współczesna poezja polska znajduje odbicie w wierszach ukraińskich twórców, w metodzie porównań, skojarzeń i metafor.

Dla Jakiwa Gedemczuka najbardziej charakterystyczna jest wysoka kultura słowa poetyckiego, genealogię swoją wywodzi ona z najlepszych wzorów polskiej i rosyjskiej literatury XIX wieku. Gedemczuk wiele wierszy pisał właśnie po rosyjsku, lecz w każdym jego utworze zauważalna jest intonacja i melodyka ukraińskiej poezji. Jest on swoistym wirtuozem, rytm wiersza w sposób doskonały podporządkowany jest tematyce i treści utworu. Poeta umie stworzyć w swych wierszach nastrój i narzucić go czytelnikowi. Jego pasją jest morze, które wchodzi do poezji nie tylko krzykiem mewy, plażą, słonym przestworem i sztormem, ale również rytmem pracy na morzu, na statku powracającym do ojczystych polskich brzegów. Na szczególną uwagę zasługują liryki o Polsce: o Warszawie, o zabytkowym Olsztynie, Koszalinie, o przyjaźni polsko-ukraińskiej — „Pobratymcy".

Iwan Złatokudr swój tomik tak właśnie nazwał — „Polsce Ludowej". Jego poezję wiąże tematyka społeczno-polityczna, forma wierszy jest bardziej nowoczesna, przypomina trochę poezję Tadeusza Różewicza. Tom esejów literackich Antipa Wierby mówiących o działalności Ukraińskiego Towarzystwa Społ.-Kulturalnego otrzymał tytuł „Przebytym szlakiem". Autor zaznajamia czytelnika ze specyfiką pracy Towarzystwa, mówi o związkach polskich Ukraińców z polską kulturą. Tomik ma charakter autobiograficzny, dokumentalny, jest autentycznym reportażem działacza organizacji ukraińskiej mniejszości narodowej.

WASYL KOCZNOW

POŁANIECCY — NIE PALLISEROWIE

Siedmioodcinkowy serial „Rodzina Połanieckich" mamy już za sobą. Czy zaliczyć go można do pozycji udanych? Na to pytanie trudno o jednoznaczną odpowiedź. Długa jest lista zarzutów, ale i za „Połanieckimi" uzbiera się trochę argumentów. Słowem rzecz była chyba przeciętna, ani bardzo zła, ani dobra.

Sporo wątpliwości może budzić wybór pierwowzoru literackiego. „Rodzina Połanieckich" nie stanowi w bogatej i wspaniałej twórczości Sienkiewicza najlepszych kart. Gdyby według tej powieści przyszło oceniać pisarza, uznać by go należało za miernego. Nie tylko Nobla by nie było, ale i w skali narodowej wkrótce uległby zapomnieniu.

Powieść tę napisał Sienkiewicz w 1894 roku, a więc w prawie 25 lat po swym debiucie literackim. Opromieniony był już sławą jako autor znakomitych nowel i jednego z najwspanialszych dzieł literatury polskiej, epopei historycznej „Trylogia". Przygotowywał się zaś do napisania „Quo vadis", powieści, która miała mu przynieść laur międzynarodowy. W nieco dalszej perspektywie rysowało się już zamierzenie „Krzyżaków".

Na tle tych gigantycznych utworów „Rodzina Połanieckich", jak i wydana nieco wcześniej powieść „Bez dogmatu", błyszczała dość nikłym światłem. W tej powieści zrodzonej z ducha polskiego pozytywizmu i pozostającej pod dość wyraźnym wpływem „Lalki" Prusa, stworzyć chciał Sienkiewicz dodatni wzorzec Polaka, który w trudnych warunkach niewoli przyczynia się do industrializacji i rozwoju ekonomicznego kraju.

W sensie poszukiwania bohatera tamtych czasów jest Stach Połaniecki dalekim „kuzynem" Wokulskiego, a nawet trochę chyba i Karola Borowieckiego (pamiętajmy przy tym, że „Rodzina Połanieckich" wyprzedzała o kilka lat „Ziemię obiecaną"). Trudno jednak zgodzić się na takiego bohatera, jak Połaniecki. Sienkiewiczowi nie udała się po prostu ta postać. Syty dorobkiewicz, „aferzysta" jak sam o sobie mówi, bezwzględny w interesach, zdradza na dobrą sprawę tylko jedną ładną stronę charakteru. Jest nią dość nie wyjaśnione zresztą uczucie do chorej dziewczynki Litki.

W stosunku do córeczki pani Emilii „pan Stach" jest szczery i bezinteresowny. Już zupełnie inaczej kształtują się jego uczucia wobec Maryni Pławickiej, potem jego żony. Żywe zainteresowanie panną nie przeszkodziło mu w brutalnym dochodzeniu swoich wierzytelności na jej ojcu. Po ślubie szczęście rodzinne Połanieckich nie budzi zaufania. Podczas ciąży Maryni Stach wdaje się w romans z panią Maszkową, trywialny zarówno w przebiegu, jak i w zakończeniu. Nie wystawia on Połanieckiemu najlepszej opinii, dlaczego więc mamy wierzyć w renesans jego miłości do Maryni, a zwłaszcza w trwałość tego uczucia w przyszłości?

Reżyser Jan Rybkowski, scenarzyści — Andrzej Mularczyk i Bożena Chlebowicz, jak również wykonawca roli Połanieckiego Andrzej May, robią wszystko, by nas do „pana Stacha" przekonać, byśmy go polubili. Zbyt drastyczne postępki Połanieckiego zostały stuszowane, a uroda i ciepło, jakim obdarza aktor tę postać, mają zrównoważyć wszystkie wady bohatera. Końcowe sceny w odkupionym Krzemieniu (akt ten symbolizuje wyrównanie wszystkich win Połanieckiego wobec Maryni) zostały wręcz przesłodzone, przy czym na obronę realizatorów serialu trzeba powiedzieć, że i w samej powieści zakończenie jest ckliwe, a chór żab krzemieńskich rechoczących : „Rade! rade! rade!" wręcz żenujący.

Jeżeli „Rodzina Połanieckich" wznawiana dziś, miała spełnić funkcję starego albumu familijnego, obrazu dawnego obyczaju i tradycji, to trzeba by stwierdzić, że zamiar w nikłym stopniu został zrealizowany. Daleko naszym „Połanieckim" do „Palliserów" i to zarówno w warstwie obyczajowej, jak i fabularnej. Ten drugi zarzut obciąża w większym stopniu Sienkiewicza niż Rybkowskiego. Jakże bowiem banalna i nieciekawa jest fabuła powieści! Jakże płaska jest historia Stacha Połanieckiego w porównniu z dramatem innego Stacha — Wokulskiego!

Czy oglądanie przez siedem tygodni „Rodziny Połanieckich" uznać zatem należy za czas stracony, za kompletny zawód? Tego tak surowo bym nie oceniał. Mimo ubóstwa scenariusza i powieści, niektórym aktorom udało się stworzyć interesujące kreacje. Andrzej May nie mógł wprawdzie zwycięsko uporać się z nieciekawą w założeniu postacią Połanieckiego. Ale taki Czesław Wołłejko w roli starego Pławickiego. Też to była sama rozkosz na niego popatrzeć! Zdecydowanie wyróżniłbym in plus spośród wykonawców Jana Englerta (Maszko), Andrzeja Seweryna (Bukacki) i Annę Milewską (Emilia). Natomiast Bronisław Pawlik jako profesor Waśkowski zdobył się tylko na skromną kopię swej kreacji w roli Rzeckiego w „Lalce".

Tak więc rozstajemy się z „Połanieckimi" z umiarkowaną satysfakcją i nie przekonani do końca, że warto było ekranizować tę powieść.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SZKIC DO AUTOPORTRETU

Andrzej Wiktor Mikołajewski, autor dwóch tomików poetyckich, napisał powieść o niepokojach młodego artysty. Temat to chętnie podejmowany przez tak zwaną młodą prozę. Powieści Marka Sołtysika, debiuty Janusza Andermana i Mariana Miszalskiego zwróciły uwagę czytelników i zyskały uznanie krytyki. Przypuszczam, że książka Mikołajewskiego ma podobne szanse.

Jej tytuł jest mylący i przewrotny. Bo przecież nie o portret Znajomego, enigmatycznego prześladowcy narratora, tu chodzi. Narrator kreśli raczej z całą pieczołowitością i dokładnością szkic do portretu własnego, do portretu młodego neurastenika, wiecznego kreatora, który zaciera granice między życiem a twórczością artystyczną. Bohater tej opowieści jest obiecującym malarzem, lecz realia posiadają niezbyt istotne znaczenie. W rzeczywistości bowiem chodzi o obraz wkraczającego w świat sztuki twórcy, który równie dobrze może być pisarzem, rzeźbiarzem czy filmowcem.

Mikołajewski poprzedził „Portret znajomego" mottem z Fryderyka Nietzschego, ale muszę powiedzieć, iż nie zadowoliło mnie ono. I z recenzenckiej przekory postanowiłem poszukać bardziej odpowiedniego zdania. Znalazłem je w „Komediantce" Władysława Stanisława Reymonta:

„Artyzm to ta szalona ruchliwość wrażliwości mózgowej i czuciowej, co wszystko wchłania i rozlewa się na wszystko, i dąży przede wszystkim do tego, aby swoje ja zatracić".

Artyzm w powieści Mikołajewskiego ma charakter destrukcyjny. Używając obiegowego sformułowania powiedzieć można, że dotknięty pasją tworzenia młody człowiek spala się. Kłopoty rodzinne, przygody erotyczne, niepokoje twórcze, mania prześladowcza, obsesyjne sny — wszystko to wyzwala chaos w nieukształtowanej jeszcze do końca osobowości. Znamienny w tym kontekście jest właśnie początek powieści:

„Nie wiem, jak żyć (...). Tracę nerwy. Opuszczają mnie siły, chodzę jakby nie nakręcony zegarek, w którym wygasa bicie. Tak, moje tętno wygasa, jest ledwo wyczuwalne. Czuję się bardzo zmęczony..."

Narrator podejmuje próby przezwyciężenia wspomnianego stanu, przeważnie jednak są to działania mało skuteczne. Bo zwyczajnie okazuje się, iż wobec igraszek losu nasz artysta jest po prostu bezsilny.

Ten przewodni wątek uzyskuje wzmocnienie w epizodycznie zarysowanych dziejach Mistrza, wybitnego artysty, kończącego tragicznie wskutek niemożności rozplątania pogmatwań swego przejmującego, ale i kabotyńskiego w ostatniej przynajmniej fazie, żywota. Postać Mistrza naszkicowana została grubą kreską, pełni z jednej strony funkcję wzorca, z drugiej zaś jest przeciwstawieniem narratora.

Tego ostatniego można z powodzeniem nazwać nadwrażliwcem. W dziejach literatury uzbierałaby się potężna kolekcja jego antenatów. Niepokojące jest jednak, a nieraz może i denerwujące, demonstrowane przezeń rozczarowanie, rozczarowanie nazbyt łatwe, niewiara w sens własnej twórczości, gdy stwierdza na przykład — nieco pospiesznie — brak szerszego zainteresowania, tym, co robi. A wtedy pozostają tylko sny. Sny o potędze sztuki.

Narrator „Portretu znajomego" obnosi się przez cały czas ze swoją „wsobnością". Z tym tylko, że nie polega ona na izolacji od świata zewnętrznego, nie zasadza się na artystycznym kontemplowaniu własnej jaźni — ukazuje raczej zachwianie proporcji tego, co składa się na osobowość, stopniowo odsłnia psychiczną dezintegrację młodego adepta sztuki.

Swego czasu zrobił karierę tytuł „Portret artysty z czasów młodości". Przypomina się on przy lekturze książki Andrzeja Wiktora Mikołajewskiego. Nie jest ona jednak portretem. Jest dopiero szkicem wstępnym zarysowaniem problematyki, do której — śmiem przypuszczać — autor „Portretu znajomego" jeszcze powróci.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Andrzej Wiktor Mikołajewski, Portret znajomego, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1979, s. 128, nakład 10 000 + 330 egz., cena zł 12,—

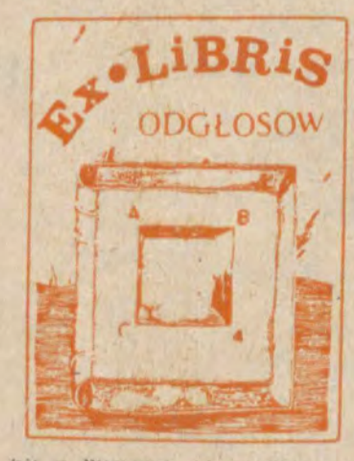

CZTEREJ Z PIEKŁA

Powieść Stefana Maciejewskiego „Czterej z piekła" to klasyczny western. Bohater, samotny i sprawiedliwy, tropi swoich dawnych kolegów, którzy w wielkiej bitwie pod Cedynią w 1945 roku zostawili jego — Bena i ich dowódcę — Daniela rannych, a sami wycofali się, ratując życie. Ben wędruje w poszukiwaniach Freda, Siwego i Pokera przez Ziemie Odzyskane i Dolny Śląsk. Jest lato 1945 roku. Na wyzwolone niedawno tereny ściągają ludzie z całej Polski. Przejeżdżają także wracający tędy z robót w Niemczech młodzi chłopcy i dziewczęta. Każdy z tych ludzi ma za sobą ciężki okres wojny, każdy chciałby przed czymś lub kimś uciec, albo coś znaleźć. Wędrują właściwie bez celu, zatrzymują się na kilka dni w jakiejś miejscowości tylko po to, aby zapracować na bochenek chleba i idą dalej. Ale z tej bezsensownej, zdawałoby się wędrówki, zaczynają powoli wykruszać się wędrowcy. Wcześniej czy później, każdy z nich dociera do miejsca, które go w jakiś sposób zaintresowało i tam zostaje. Znajduje zajęcie i zaczyna tworzyć nowe życie. Ludzie są różni, mają różne doświadczenia i przeżycia, trudno im się dopasować, ale potrzeba unormowanego, spokojnego życia jest silniejsza i potrafią znaleźć wspólny cel.

Inaczej jest z Benem, on ma tylko jedno marzenie, jak typowy zresztą bohater Dzikiego Zachodu, pomścić śmierć przyjaciela-dowódcy. Tropi kolegów, odnajduje ich i dwu z nich zabija. Pozostał mu tylko jeden, ale w świadomości Bena zaczynają zachodzić zmiany. Obserwuje osadnika, który próbuje zabić niemieckich mieszkańców wsi w sposób typowy dla hitlerowców. Ben jest wstrząśnięty. Poza tym Siwy, pozostały z trójki, ożenił się z jego dziewczyną, Wandą. Wanda spodziewa się dziecka.

Ale, jak powiedziałam na początku, książka jest klasycznym westernem, a więc zemsta musi się dokonać.

Książka jest udanym debiutem Stefana Maciejewskiego. Nie odkrywa nowych prawd, ale jest napisana poprawnie i z dziennikarskim zacięciem. Czyta się ją z zainteresowaniem.

Stefan Maciejewski „Czterej z piekła", Czytelnik, W-wa 1978, str. 20, cena zł 22—.

O OJCZYZNĘ TROSKA

Wanda Pomianowska jest językoznawcą. Katarzynę Zaborowską poznała w czasie badań dialektologicznych. Zafascynowana jej postacią i poezją wiele razy wracała do Wilkowa: zaprzyjaźniła się z poetką. Za jej przyczyną także powstał ten zbiorek poezji, do którego teksty zebrała, opracowała, wielu nadała tytuły i całość opatrzyła posłowiem. Zbiór ten należy do nieczęstych zjawisk w naszym kraju. Niezwykła jest osoba autorki. Zaborowska, wiejska kobieta, której młodość przypadła na okres zaborów, nie potrafiła nawet pisać. Wiersze, które zaczęła układać od 15 roku życia, po prostu zapamiętywała. Dopiero w czasie wojny zaczęła je zapisywać jej córka, Józefa, później zięć, a także Pomianowska.

Zbiór wierszy (około 60 tekstów), wchodzący do tego tomiku, w zasadzie obejmuje całość zachowanej twórczości Katarzyny Zaborowskiej. Ze względu na czas, w jakim dokonano zapisu, niewiele pozostało z okresu przedwojennego, najliczniejszą grupę stanowią osiągnięcia dojrzałej twórczości poetki. We wszystkich wypadkach, kiedy udało się ustalić datę lub choćby w przybliżeniu okres, w którym powstał wiersz, albo inne okoliczności jego napisania, odpowiednie informacje Pomianowska podaje bezpośrednio przy tekście.

Wiersze ułożone są w cykle tematyczne. Grupę pierwszą tworzą utwory wspólnym tytułem „Moje życie" i dotyczą najbardziej osobistych przeżyć autorki. Następną grupę stanowią wiersze — ogólnie mówiąc — polityczne i patriotyczne. Powstawały one jako bezpośrednia reakcja na wydarzenia chwili, które wydawały się poetce ważne. Kolejny, czwarty cykl, tworzą wiersze zatytułowane „Na bożą chwałę". Cykl piąty i ostatni to utwory objęte tytułem „O dobre serce i dobre obyczaje". Już poza cyklami tematycznymi w zbiorze jest kilka wierszy satyrycznych. Gorąco zachęcam do bliższego poznania utworów Zaborowskiej, a szczególnie do uważnego przeczytania posłowia Wandy Pomianowskiej, które jest swojego rodzaju majstersztykiem.

Katarzyna Zaborowska „O ojczyznę troska" wybór opracowanie i posłowie Wandy Pomianowskiej, LSW, W-wa 1978, stron 112, cena zł 20—.

MĘŻCZYŹNI I BROŃ

Utwór „Mężczyźni i broń" Milana Sutovca jest jego debiutem książkowym. Dojrzałość tego debiutu jest zaskakująca. Zwłaszcza, że chodzi o powieść z lat czterdziestych. Tematyka ta została już szeroko przedstawiona przez uczestników i naocznych świadków historii państwa słowackiego, sprzymierzonego z Hitlerem. Sutovec, który fakty te znać może jedynie z lektur i opowiadań, dał przekrój społeczeństwa słowackiego z roku 1944 na przykładzie niewielkiego miasteczka, wyposażając powieść w trzymającą w napięciu i niemal sensacyjną fabułę oraz w cienki humor ze skłonnością do groteski. Humor ten pozwala autorowi na utrzymanie dystansu i niemal pobłażliwość wobec zachowań postaci negatywnych, wobec słabostek szaraków i mięczaków, czy też wobec wahań i naiwności bohaterów pozytywnych. I choć rysunek postaci jest niekiedy nader szkicowy, wszystkie one są przekonujące.

Milan Sutovec „Mężczyźni i broń", Czytelnik, Warszawa 1978, str. 233, cena zł 22—.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

SZPAKAMI KARMIENI

Powiedziano już wiele słów i wiele wypisano atramentu na temat ewentualnych pożytków społecznych literatury sensacyjnej. Panuje dość powszechny pogląd, że owa lekka niezbyt absorbująca umysłowo literatura bywa pierwszym progiem na salony czytelniczych zainteresowań. Często tak rzeczywiście bywa. Pamiętam na przykład wyznanie dr Aleksandra Słapy — wybitnego edytora, twórcy Wydawnictwa Literackiego, który wspomina jak jego chłopięce zainteresowanie Tomem Mixem i Buffallo Billem przerodziły się w prawdziwą, wielką miłość do wielkiej literatury. Oczywiście bywa i tak że zainteresowania czytelnicze zaczynają się i kończą na tzw. literaturze wagonowej.

Inny — bardziej praktyczny — pogląd głosi, że literatura sensacyjna pełni istotną funkcję profilaktyczną — że ostrzega, uczula społeczeństwo na metody przestępczych działań. Jest to pogląd generalnie słuszny, choć i on dałby się łatwo podważyć. Przecież miliony ludzi od lat czytają o różnego rodzaju oszustach, niebieskich ptakach, hochsztaplerach — i od lat różnej maści cwaniacy wciąż znajdują naiwnych.

Niedawno Stefan Kozicki i Aleksander Rowiński opublikowali tom reportaży o „urodzonych w niedzielę" cwaniakach. Dobrze, że wydano tę książkę w serii „kryminałów", choć odbiega ona bardzo od poziomu standardowych banalnych opowiastek nie wnoszących nic nowego do naszej wiedzy o współczesności.

Dwaj znakomici reporterzy nasycili bowiem swoją książkę takim ogromem realiów społecznych, że pod pozorem „kryminału" dali czytelnikowi coś więcej niż zapowiada krzycząca, barwnie lakierowana okładka. Opowieść „Szpakami karmieni" jest opowieścią o oszustach, ale jest to również — a może przede wszystkim — reportaż o realiach społecznych i gospodarczych, o przepisach, o krajobrazie obyczajowym... O tym strumieniu rzeczywistości w jakim płyną z prądem i pod prąd złote — czy raczej tombakowe — rybki, obiecujące naiwnym wielką, jedyną w życiu okazję, znakomity, złoty interes.

Trzeba mieć do ludzi zaufanie — to prawda. Ale trzeba też umieć dystansować się, gdy w atmosferze panuje naruszanie prawa, gdy czuć zapaszek czegoś zakazanego, ryzykownego... Jeśli ktoś idzie do sklepu jubilerskiego kupić złoty zegarek, skoro odżałował już nań pieniądze — niech się nie da unieść szczęściu, że przed sklepem czeka specjalnie na niego cudowna okazja.

W kryminologii istnieje pojęcie „ciemnej liczby" — określa ona przestępstwa nie ujawnione. W kategorii oszustw jest ich najwięcej. W tym zakresie nie występuje specyfika „po wojnie" lub „przed wojną". Nie ma rozróżnienia na „u nas" lub „na Zachodzie" — albo „w Europie" i „w Ameryce". Wstyd i obawa przed śmiesznością tak powodują oszukanymi, że siedzą cicho — pod każdą szerokością geograficzną.

Przesłaniem każdej rzetelnej, uczciwej książki publicystycznej może być pogląd — jakże słuszny — że dobrze poinformowany obywatel przedstawia większą wartość społeczną niż niedoinformowany. To przesłanie winno przyświecać także literaturze sensacyjnej. Bo przecież nawet drobiazgi bez większego znaczenia układać się mogą w barwną mozaikę obyczajową. Gdy nie ma zmyśleń i bajkowych fikcji, tak przecież częstych w literaturze sensacyjnej — może ona stać się niemal socjologicznym zapisem naszej zgrzebnej codzienności.

Oto rzecz o truskawkach, konwojentach i przepisach. Otóż pewnego roku wprowadzono przepis, który pozbawił skupujących należnych im dotychczas ubytków naturalnych. Dawały one skupującym i konwojentom dodatek do normalnej pensji — w postaci gotowego towaru. Jeśli zainteresowani dobrze chronili towar mogli — na przykład z pięciu ton truskawek — sto kilogramów sprzedać po drodze — i wszystko było zgodnie z dokumentacją przewozową. Po utracie tego dodatku dziewięćdziesiąt procent fachowców nie przystąpiło do skupu. Nie wykonano zatem planu eksportu, za co zapłaciliśmy kary w dewizach. W efekcie jednego zarządzenia zanotowaliśmy brak truskawek na rynku wewnętrznym i straty w dewizach. Kto zyskał? Nikt.

Na marginesie głównego nurtu opowieści o oszustach wiele jest w tej książce takich reporterskich dygresji. Nie ma natomiast — na szczęście — moralizatorskich komentarzy. I słusznie. Komentarze narzucają się same, albo są niepotrzebne. Bo przecież i tej warstwie książki przyświeca przesłanie o społecznej wartości obywatela, który posiada informacje o blaskach i cieniach codzienności w jakiej przyszło mu żyć.

WIDOK

Z GALERKI

HENRYK CZYŻ

Kilka srok zaczęło płakać:
Czyżby znowu zaczął łapać!?

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

PROPOZYCJE

ŚPIJ SPOKOJNIE, ON CZUWA!

Z przyjemnością rejestruję fakty, które świadczą, że nieformalny jeszcze KLUB PRZYJACIÓŁ REDAKTORA MAJA*) zyskuje coraz więcej zwolenników. O naszym człowieku w świecie pisali już między innymi: Bogdan Maciejewski w „Sztandarze Młodych", Krzysztof Kłopotowski w „Literaturze", Janusz Głowacki w „Kulturze", zastrzegając zresztą prawo powrotu do tego wdzięcznego tematu, oraz Zdzisław Szczepaniak w „Dzienniku Popularnym". A przecież nie jest to pełen rejestr tych, wśród których redaktor Maj wzbudził podziw, sympatię i szacunek. Charakterystyczne jest to, że nikt z poczynań redaktora Maja nie kpi, nie wydziwia gdyż wiadomo, że redaktor Maj to nasz człowiek w ONZ. Nawet „Szpilki", powołane do kpin i drwin, względem redaktora Maja odnoszą się z pełnym szacunkiem i — co tu ukrywać — z zazdrością. Któż bowiem tak jak ON śniadanie je w Londynie, obiad w Nowym Jorku, a kolację w Honolulu. Któż bowiem tak jak ON obala rządy, wyzwala uciśnionych i ratuje pokrzywdzonych, któż tak dzielnie i bohatersko walczy o sprawiedliwość? I to nie piórem, czy maszyną do pisania, a pistoletem, chwytem dżudo, przenikliwością, elegancją i niebywałą, nadwiślańską zimną krwią. Niech narody postronne znają, że Polacy nie gęsi i swego Maja mają. Redaktora Maja oczywiście, przed którym drżą dyktatorzy i doktor Leszek Herdegen. Cała organizacja Wu jest do du, kiedy na horyzoncie pojawia się ON, redaktor Maj.

Proszę nie myśleć jednak, że przemawia przeze mnie zawodowa zawiść. Postanowiłem zostać tylko skromnym rejestratorem wydarzeń, jakie towarzyszą pojawieniu się na telewizyjnym ekranie bohaterskiego redaktora Maja. Uważam, że jedynie godziny dzielą nas od wspaniałej decyzji powołania KLUBU PRZYJACIÓŁ REDAKTORA MAJA. Z niecierpliwością oczekuję, kto pierwszy wystąpi z tą propozycją. Nie poprzestałbym jednak na tym, co już redaktor Maj dokonał. Mam bowiem trochę ważniejszych spraw na głowie, którymi warto, aby się nasz człowiek zajął.

Widziałbym dla redaktora Maja nowe pola do dalszych bohaterskich wyczynów. Dając sobie tak znakomicie radę z ciemnymi siłami społecznymi i politycznymi, mógłby redaktor Maj wziąć się również — w ramach prac zlecanych w ONZ — za walkę z tymi, którzy niszczą nasze środowisko i zawieszają nad planetą Ziemią czarną chmurę śmierci. W USA na przykład tamtejsze brakoroby spartoliły elektrownię atomową i diabli wiedzą, co z tego wyniknie. My na szczęście elektrowni atomowej nie mamy, w ogóle mamy zresztą mało elektrowni, stąd i nasz kryzys energetyczny, nie mamy więc powodów do zmartwień o skażenie środowiska, ale inni mają i uważam, że Andrzej Zbych i Andrzej Konic powinni natychmiast pchnąć redaktora Maja do walki z amerykańskimi brakorobami. On by już sobie z nimi poradził. Powiem więcej, jak prasa donosi, w tychże USA prezydent Carter ma kłopoty z kryzysem energetycznym, myślę, że nasz dzielny kolega poradziłby sobie z opozycją i pomógł w załatwieniu słusznej sprawy. Wpadłby na mały koktajl do Waszyngtonu, pogadałby z kim trzeba, obnażyłby to i owo, zdemaskował zamaskowanych, zamaskował zdemaskowanych i po krzyku. Proszę w razie czego pamiętać, że to ja podsunąłem ten pomysł. Nie chodzi o dzielenie się honorarium, taki pazerny na forsę to ja nie jestem, ale zawsze dobrze jest dopisać się do czyjejś sławy, spocząć nawet bez laurów w jej cieniu.

Na tym nie koniec. Oto dowiaduję się z „Dziennika Popularnego", że niecni uczeni kombinują jakieś cuda z bakteriami i mogą nam wszystkim zrobić wielkie kuku. Wyliza takie bakterie z probówek, zaczną się gwałtownie rozmnażać, a że inżynierowie genetyczni pozmieniali im różne cechy i sami jeszcze nie wiedzą, co z tego wyszło, to owe bakterie dadzą nam taką szkołę, że nasza piękna planeta zamieni się w pustynię.

Ludzie już próbowali zmieniać środowisko, powycinali lasy i zaczęły się powodzie, do Australii zawieźli króliki i zaczęła się plaga. Albo to jedna zresztą? Z wróblami było podobnie. Czy tylko z wróblami? Trapią naszą planetę zimy stulecia, wiosny stulecia, lata stulecia, jesienie stulecia. Bogate mamy stulecie. Trapią nas huragany, śnieżyce, nawałnice i kryzysy. Ale ja jestem spokojny, bo jest ON — redaktor Maj, który wszystko może. Z ciemnymi siłami przyrody też sobie poradzi o czym skromnie przypominam Andrzejowi Zbychowi i Andrzejowi Konicowi. Panowie! Do dzieła.

Rozbrykałem się może trochę, ale proszę mi wybaczyć, dwa powody mnie usprawiedliwiają: a) redaktor Maj i b) święta. Kiedy patrzę na redaktora Maja i jego poczynania, dusza we mnie rośnie. A cóż było robić w święta, jak nie oddawać się fantazjom. Ot i wszystko.

MARCIN RODAK

P.S. Nie chodzi o redaktora Mariana Maja z Łódzkiej Rozgłośni PR.

LEWYM OKIEM

ZŁE STRONY KOMFORTU

Czytałem kiedyś wrażenia z podróży po Stanach Zjednoczonych, w których autor opisywał nieustanne, natrętne efekty dźwiękowe tamtejszych pokojów hotelowych. Ciągle włącza się tam z trzaskiem i wyłącza urządzenie klimatyzacyjne, skrzypią automaty regulujące temperaturę, strzelają drzwi i motory wind, burczy zimna i gorąca woda w kranach. Był to opis nader sugestywny i bez trudu wyobraziłem sobie zrywanie się w nocy ze snu na dźwięk tego, czy innego urządzenia, mającego gwarantować pełny komfort hotelowemu gościowi.

To był opis sprzed ćwierćwiecza, nie sprawdzałem, nie byłem w Ameryce. Teraz pewnie komfort polega na wyciszaniu wszędzie wszystkiego, tak przynajmniej powinno być. Ale nie wykluczone, że każdy kraj musi przejść przez wszystkie stadia upowszechnienia techniki, także przez stadium codziennego, niedostępnego, nękającego jak dziurawy ząb hałasu.

W wielopiętrowych nowoczesnych wieżowcach życie bez windy byłoby oczywiście niemożliwe. Natomiast życie z windą jest możliwe, tyle że ciągłe trzaskanie drzwi na coraz to innym piętrze stanowi niemałą udrękę we dnie i w nocy. Największą przyjemność mają zaś mieszkańcy najwyższego piętra, sąsiadujący z motorem. Mimo wielu udoskonaleń, o jakich co jakiś czas czytamy, każde uruchomienie windy to wystrzał armatni na poddaszu, tuż za uchem mieszkających tam wysoko ludzi. Nie wiem, czy zdołałbym się do tego przyzwyczaić, na szczęście mieszkam w domu bez windy. Mam za to lodówkę.

Lodówki — a właściwie zgodnie z ulepszoną nomenklaturą chłodziarki i zamrażarki — znajdują się już w większości gospodarstw domowych. Dzięki chłodziarkom i zamrażarkom nikt nie kupuje mięsa mniej niż trzy kilo, masła mniej niż trzy ćwiartki, jak jaja to trzy mendle, jak śmietanę, to całe wiadro. Ponoć zużycie masła wzrasta dwukrotnie w gospodarstwach mających lodówkę, bo masło zamrożone nie daje się cienko rozsmarować.

Mamy więc także skutki uboczne: smarując z konieczności grubo, rujnujemy zdrowie cholesterolem. Drugi skutek uboczny: lodówka skazuje nas na spożywanie wyłącznie produktów nieświeżych. To wygląda na paradoks, ale tak jest. Mięso po kilku dniach chłodzenia jest oczywiście jadalne, ale porównajcie je z takim świeżo ubitym, wiejskim, tuż po świniobiciu: niebo a ziemia. Nie pamiętamy już w miastach smaku świeżych jaj i świeżych wędlin. Kiedy lodówki były rzadkością, nikt nie truł się lodami, bo nikt ich nie zamrażał kilkakrotnie. Zresztą nie ma co utyskiwać, bo sprawa jest nieodwracalna i należałoby sobie tylko życzyć, żeby tak zwane „Łańcuchy chłodnicze", to znaczy szereg urządzeń umożliwiających ciągłe przetrzymywanie, przewóz i sprzedaż towarów w stanie oziębionym, nie miały nigdzie luk i słabych ogniw. Tylko — i to właśnie chciałem dzisiaj powiedzieć — dlaczego te nasze domowe zamrażarki tak hałasują? Dlaczego warczą na nas z taką zawziętą złością, a często strzelą w nich coś, łomoce i dudni?

Windy w moim domu nie ma. Ale jak się sprzęgnie warkot i potrzaskiwanie lodówki z pomrukiwaniem i chlupotem w kanalizacyjnych i wodociągowych rurach, jak małżeńska wymiana zdań u sąsiadów z góry nałoży się na pracowite stękanie pralki z dołu, to już nawet nie potrzeba zgrzytających za oknem tramwajów, ani żarłocznego charkotu odkurzaczy, żeby człowiek się poczuł członkiem bardzo utechnicznionej społeczności, otoczonym całą czeredą służących mu mechanicznych niewolników.

ĆWIEK

SPORT

KTO SIĘ BAWI?

O rajdzie „Złote Piaski" nie było u nas zbyt głośno, choć jest to rajd o najwyższym współczynniku trudności — 4 i zalicza się go do eliminacji mistrzostw Europy. Konkurencja w tym rajdzie była trudna, brały w nim udział same europejskie sławy samochodowe. Polaków tam też nie zabrakło. Dlaczego więc cisza panuje wokół tego rajdu?

Są konkurencje sportowe, którymi mniej się interesuję, mniej się pasjonuję, bo dzieją się gdzieś daleko, telewizja tego nie pokazuje, pojechać tam nie można, czeka więc się tylko na relacje specjalnych wysłanników i albo się cieszy z sukcesów, albo martwi niepowodzeniami. Do takich sportów zaliczyłabym szybownictwo, żeglarstwo, bojery, alpinizm, a także sport samochodowy. Z samochodów najbardziej interesują mnie akurat taksówki, o których też czasem można sobie tylko pomarzyć marznąc na postoju.

Moje nieoczekiwane zainteresowanie się rajdem „Złote Piaski" wynikło stąd, że udział w nim zapowiedziały polskie załogi na „Polonezach", „Fiacie 126p", „WAZ 21011" i „Oplu Kadett GTE". Z „Głosu Robotniczego" dowiedziałam się właśnie, że „kilkumiesięczny test wykazał wiele zalet „Polonezów", pomyślałam więc sobie, że nasi pokażą innym gdzie pieprz rośnie. Nie zdziwiło mnie nawet zbytnio to, że rejestr zalet 20 testowanych „Polonezów" jest taki sam długi jak rejestr wad i to, że trzem samochodom trzeba było wymienić wały napędowe i tylni most. Moi znajomi, którzy posiadają samochody ciągle coś wymieniają, reperują i naprawiają, tak, że uznałam to za naturalne.

„Polonez" to jest to — pomyślałam sobie — ale okazało się, że to nie jest to, tylko zupełnie coś innego. Już w czasie treningu, w „Polonezie" A. Jaroszewicza i Z. Kobylskiego coś się popsuło, ale naprawili. Niestety, na nic to się zdało. W inauguracyjnym biegu, po trzecim okrążeniu, okazało się, że w tłoku jest dziura i materiał jest zmęczony. Trzeba było ten nadzwyczajny samochód odesłać do sanatorium na odpoczynek. Następnego dnia odpadł z konkurencji „Polonez" M. Stawowiaka i S. Brzozowskiego, bo odpadło mu tylne koło. Z rajdu odpadł też „Fiat 126p". Zostali tylko ci polscy kierowcy, którzy jechali na zagranicznych wozach. J. Landsberg i J. Szajn zajęli nawet piąte miejsce na seryjnym „Oplu Kadett GTE". Śmialiśmy się z „Polonezów", które w rajdzie Monte Carlo dojechały w pierwszej sześćdziesiątce. Ale w obliczu klęski w Złotych Piaskach był to niewątpliwy sukces, bo w ogóle dojechały.

Można się tak bawić, że pożytek i radość z tego mają wszyscy, a można się i tak bawić, że inni patrzą na to z niesmakiem. Sport samochodowy bawi się — jak na razie — we własnym kółku, sprawiając tym radość sobie, a nam wszystkim co najmniej zdziwienie.

Inaczej bawią się kibice piłki nożnej. Niektórzy nazywają ich pseudokibicami. Ale jak odróżnić w tłumie zalegającym stadion tych prawdziwych kibiców, od tych udających tylko kibiców, bawiących się znakomicie we własnym gronie? Wiem, że zabawa w sport samochodowy i niebezpieczne zabawy kibiców piłki nożnej należą do różnych dziedzin, ale wspólne dla nich jest pytanie: kto się bawi? Dlatego pozwalam sobie połączyć w jednym felietonie te dwie różne sprawy.

Ta druga sprawa dotyczy klubów kibica. Większość drużyn piłki nożnej ma takie kluby, których zadaniem jest organizowanie dopingu na boisku. Ma to szczególne znaczenie wtedy, kiedy drużyna gra na obcym stadionie, wśród niezbyt przychylnie nastawionej publiczności, kiedy jest potrzebne „własne wsparcie". Tygodnik „Piłka Nożna", doniósł, że Klub Kibica Legii otrzymał formalny zakaz udania się do Łodzi na mecz Legii z ŁKS, jako że ani milicja, ani porządkowi ŁKS nie gwarantowali bezpieczeństwa na stadionie. Mimo to — jak poinformował „Express Ilustrowany" do Łodzi pojechali kibice Legii, demolując przy okazji dwa wagony i w końcu musiała interweniować milicja, zatrzymując przeszło 20 osób.

Ale też Klub Kibica ŁKS nie popisał się. Nie tylko, że śpiewano brzydkie piosenki pod adresem piłkarzy Legii, ale spalono też sztandar o klubowych barwach Legii. Palenie sztandarów jest bardzo modne na Zachodzie, ale tam nie otacza się sztandarów takim szacunkiem jak u nas. Palenie cudzych sztandarów, nawet gdy są to tylko sztandary klubowe, jak też palenie książek coś nam przypomina, z czymś się nam kojarzy. To już nie jest wybryk rozwydrzonej młodzieży. To już zaczyna brzydko pachnieć.

Niedawno „Głos Robotniczy" opublikował list Czytelnika, który był świadkiem, jak członkowie Klubu Kibica ŁKS rozprawili się za kioskiem, na wprost Dworca Kaliskiego, z człowiekiem, który próbował pokazać milicji rozrabiających. Myślę, że w tym wypadku nie wystarczy już usprawiedliwiająca notatka w „Expressie Ilustrowanym", że inne kluby też nie są święte, a gdańska Lechia nawet swój klub rozwiązała. Chyba i Zarząd ŁKS podejmie w tej sprawie radykalne decyzje, bo nie jest to już zabawa, na którą można patrzeć obojętnie. Kto tu się bawi?

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa Książka Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438. Telefony 652 44 sekretariat i red. naczelny 680 99, 677 70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 883. A-2.

Załącznik nr. 22/-/79

HASŁO NUMERU: Wódę pij tylko po przygotowaniu

— Mam tylko „złote myśli"!
Rys. J. Skonieczny

Poetycka Spółdzielnia Pracy
„RADOSNA TWÓRCZOŚĆ"

Wielką żałość wśród Czytelników wywołała wiadomość o zawieszeniu działalności spółdzielni. Na szczęście z dniem dzisiejszym PSP „Radosna Twórczość" wznawia swoją działalność, pod — co najdziwniejsze — zarządem tego samego prezesa (zwolniony warunkowo z aresztu, w którym przesiedział pół roku pod zarzutem nielegalnego handlu fotografiami członkiń Spółdzielni...).

Na nowy początek prezentujemy sensacyjne odkrycie, jakiego dokonał w Bibliotece Sorbony nasz korespondent, Walenty Drzymała. Wielu znawców przedmiotu zastanawiało się nad autorstwem wytrzepanego z kurzu zbioru fraszek, aby w końcu przychylić się do opinii prof. Andrzeja Malisza z Łódzkiej Akademii Telewizyjnej. Onże, opierając się na niezbitych dowodach wysunął tezę, iż autorami zbioru są dwaj mało dotychczas znani poeci staropolscy: DARYUSZ DOROŻYN z Lipin (1546—1682) i jego kuzyn po kądzieli — MARYAN MISZALA herbu BRZESZCZOT z Siemienic (1549—1552).

Prezentując wybór z nieznanego dotąd dzieła, zachęcamy Czytelników do wstępowania w szeregi PSP (warunki: fotografia własna, życiorys i trzy wiersze).

Niedawno w audycji Polskiego Radia Maciej Iłowiecki z „Polityki" powiedział o Zbigniewie Blani, że jest to badacz rzetelny i poważny — dziwne więc, że wciąż bywa przedmiotem głupich dowcipów.

Moim zdaniem to wcale nie dziwne. Zbigniew Blania-Bolnar socjolog i badacz problemów UFO jest zbyt poważnym badaczem aby go... nie lekceważyć. To nie paradoks — ludzka ignorancja i zawiść zawsze wyzwalają takie reakcje.

Skądinąd wiadomo, że ci którzy z analiz i poglądów Blani żartują, nie mają większego pojęcia o problematyce podejmowanych przez niego badań. A jak wiadomo bardzo łatwo kpić ze spraw, o których wie się tylko tyle ile „jedna pani powiedziała". Przecież można odrzucić głębszą refleksję, można nie znać żadnej poważniejszej publikacji na temat zjawisk paranormalnych — jakże wtedy łatwo kpić, zdobywając łatwy poklask.

Maciej Iłowiecki, jeden z najpoważniejszych w Polsce publicystów i popularyzatorów nauki postawił swój autorytet po stronie wyśmiewanego Blani. Ale czytelnik popularnej prasy nie zna Iłowieckiego, dla przeciętnego czytelnika autorytetem jest notatka, w której ignorancja walczy o lepsze ze złośliwością.

W Łodzi ze Zbigniewa Blani żartuje się na potęgę, ale rzadko otwiera się przed nim łamy prasy. Swoją poważną pracę drukował łódzki autor na łamach „Przeglądu Technicznego — Innowacje", prowadził wielogodzinne audycje w Polskim Radio, ostatnio zaś duży wywiad z Blanią opublikowała „Literatura".

W „Odgłosach" natomiast autor notatki w świątecznym numerze zrozumiał z tego wszystkiego tyle, żeby sobie pożartować z nazwiska. W młodości uczono mnie, że żarty z nazwiska są najbardziej prymitywną formą dowcipu. Dobrze mnie uczono, szkoda tylko, że zarzucono tę naukę w stosunku do młodego pokolenia.

W tym lekceważeniu działalności Zbigniewa Blani jest zresztą coś bardzo typowego. Nie chodzi w końcu o UFO i ETI — chodzi o to, że ktoś wie więcej, więcej rozumie, głębiej myśli. To musi rodzić kompleksy niektórych publicystów. Dziennikarka „Literatury" tych kompleksów nie miała, więc jej wywiad z Blanią miał ton poważny.

W wywiadzie dla „Literatury" Zbigniew Blania-Bolnar powiedział: „Jesteśmy w naiwny sposób przeświadczeni o wielkości naszych odkryć i naszych umysłów". Stwierdzenie to jest dowodem skrupulatności, której brak dowcipnisiom, przeświadczonym, że podręcznik fizyki dla klasy siódmej zamyka wszystkie obszary współczesnej wiedzy.

JERZY WILMAŃSKI

OD REDAKCJI: Naszym zdaniem, im badacz poważniejszy, tym mniej sobie robi z dowcipów na swój temat. Tę opinię potwierdził także interesujący nas badacz, przemilczając notatkę. Mniejsze poczucie rzeczywistości wyczuł jego mecenas — J. Wilmański.

Z ŻYCIA SFER
CASUS: BLANIA

DARYUSZ DOROŻYN
MARYAN MISZALA
h. BRZESZCZOT

GDY MI NIE STAWA...

Gdy mi nie stawa, Kacprze kochany,
przodem odwracam się do ściany.

KWESTIA GUSTU

To jest, moja droga, kwestia gustu:
coitus interruptus.

O OBŁAPCE

Ta tylko obłapka mężowi uchybia
gdy białogłowa brzydliwa.

DO KOLEGI

Tego tylko nazywam kolegą,
w którego łóżku leżę z żoną jego.

A W DREWUTNIEJ...

A w drewutniej
pilnowałbych cię chutniej...

Daryusz Dorożyn i Maryan Miszala h. Brzeszczot podczas polowania.

Foto: Archiwum

WYSYPAŁY FURAŻERY I KURCZAKI

Wiosna. Były już przebiśniegi, krokusy, pierwiosnki, sasanki, żonkile. Tego roku wysypały także furażery.

foto. R. Łucyszyn

12 kwietnia, ok. godz. 14.50 przed bramą naszej redakcji — (ul. Mickiewicza 12) z samochodu chłodni (nr rejestr. IW 5211) wyleciały kurczęta (bite, świeże).

Ponieważ samochód należał do Zakładu Transportu Przemysłu Drobiarskiego w Kutnie, Oddział w Łodzi (Armii Czerwonej 28c), początkowo fakt wypadnięcia kurcząt pod bramą naszej redakcji przyjęliśmy z radością, widząc w nim sympatyczny prezent od „POLDROBU" dla zespołu „Odgłosów" (drób w takich ilościach rozwiązałby całkowicie problem świątecznego zaopatrzenia!)...

Jednakże konwojent z kierowcą prędko rozwiali nasze złudzenia. Pośpiesznie zebrali z jezdni kurczęta, po czym oddalili się w nieznanym kierunku. Gorliwość ta dobrze jednak świadczy o zaangażowaniu załogi chłodni nr IW 5211. Dzisiaj możemy mieć pewność, że kurczęta — naturalnie po otrzepaniu z kurzu — w przewidzianym terminie trafiły na stoły naszych rodaków.

Żałujemy tylko, że fotoreportera przy tym nie było. (t.s.)

Z cyklu: „Pudła"

Aż przykro jest wypominać erudycie tak wielkiemu jak Waldemar Łysiak dwa zabawne potknięcia które spotkały go w artykule o Atlantydzie (w świątecznym numerze „Kultury"). Co naturalnie nie zmienia w zupełności faktu, że prawdziwym dla nas zaszczytem jest móc gościć tego wyśmienitego autora w cyklu dziennikarskich „pudeł"...

Przytaczając za Platonem charakterystykę Atlantydy (nie jest to jednak cytat), Łysiak pisze: „Urodzajna ziemia dostarczała Atlantom pod dostatkiem zbóż (żniwa dwa razy w roku), jarzyn (podkreśl. — nasze) i owoców"... Lapsus to zgoła dziecinny, bo przecież tylko dzieci mylą warzywa z jarzynami (a to warzywa, jak wiadomo, ugotowane).

W innym miejscu wymienia autor kilka źródeł pisanych dostarczających nam szczegółów n.t. Atlantydy, a wśród nich... „Bajki z 1001" nocy. Błąd to od pierwszego groźniejszy, bo choć w języku polskim terminów „bajka" i „baśń" używamy czasem wymiennie (vide Słownik Terminów Literackich), podobna swoboda w przytaczaniu znanego tytułu klasycznego już zbioru baśni (a nie bajek!) jest raczej niedopuszczalna (chętnie wysłuchalibyśmy zresztą opinii znawców Wschodu).

Oba drobne potknięcia nie zmieniają faktu że — czytając tekst o Atlantydzie — po raz któryś już z kolei pochyliliśmy głowy przed erudycją Waldemara Łysiaka...

Nie przechodzi

Jubileusz, skromny, bo skromny, ale zawsze, obchodził niedawno telewizyjny „Pegaz". Oto w ubiegły czwartek lubiany ten magazyn zadał po raz 367 pytanie, czy teatr przechodzi kryzys.

Jak zwykle, okazało się, że nie przechodzi.

Z kącika recenzji

(Obsługa własna — klub Dziennikarza). Błażejewski o Miszalskim, Bąbol o Mikołajewskim, Kwieciński o Urbankiewiczu... Aż sympatyczna pani Zosia nie nadąża z koniakami...

TO I TAMTO

Twierdzą doświadczeni kawalarze, że jak już chce się powtórzyć jakiś dowcip, to trzeba go opowiedzieć zgodnie z wersją oryginalną bądź — w wersji jeszcze lepszej.

Zapomniał (?) o tym — zdaje się — „Odgłosowy" Widok, prezentując w swym felietonie „Język nasz codzienny" („Odgłosy" nr 15) własną, lecz daleką od oryginału wersję anegdoty o pewnym studencie prawa, który — poproszony na egzaminie o zdefiniowanie pojęcia „sprzedaż" — odpowiedział (uwaga, korekta!!!), „to jak ktoś (ktuś), coś (cuś), kumuś (kómuś) da na sprzedaj..."

A oto wersja podana przez Widoka: „Sprzedaż — jak ktoś ma coś komuś na sprzedaż" Różnica chyba widoczna.

Na drugi raz radzimy sprawdzić u źródła! (Nazwisko i adres znane redakcji).

Na cacy tacy cytaty z Tacyta

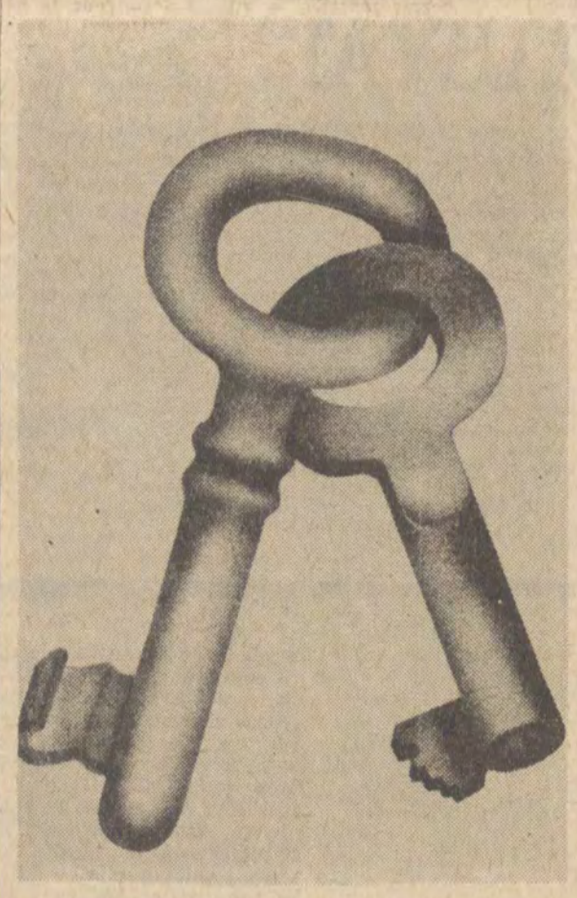

Rys. Bożena Jankowska — „Szpilki".

Zgodnie z zapowiedzią, wobec braku nowej książki telefonicznej, drukujemy dziś kolejny fragment starej (1976/77). Za ewentualne skutki wynikłe z, Redakcja nie bierze, jak zwykle, odpowiedzialności.

Zanim zadzwonisz – przeczytaj

ODCINEK 2.

miasto Łódź zostało umieszczone na

(ciąg dalszy nastąpi)

„B" jak Bubel

Książki z serii „Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej" ukazywały się do tej pory w twardej, solidnej oprawie. Ostatnio wydane tomy (edytor: Państwowy Instytut Wydawniczy) — oprawione są w lichą, cieniutką tekturkę. Widać tylko nam się wydawało, że publikacja określonej serii wydawniczej to swego rodzaju nie pisana umowa z czytelnikiem, który oczekuje kolejnych tomów serii w takiej samej oprawie, w takim samym formacie i w jednolitej szacie graficznej. Wydawca jednak dopilnował, żeby nam się w głowie ze szczęścia nie poprzewracało. Aby czytelnikom „Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej" nie było smutno, donosimy, że podobnie potraktowano kolekcjonerów serii „Plus, minus, nieskończoność". Ostatnie książki z tej serii mają poobcinane „skrzydełka" okładek i okładki nie są już lakierowane.

Być może doczekamy się niedługo tego, że będziemy kupować książki w luźnych arkuszach i sami będziemy biegać do introligatorów, aby nam je zeszyli i oprawili. Tylko skąd wziąć tylu introligatorów?

(b.m.)

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK II

W miejscu, gdzie droga stawała się ulicą, zaczynały się objazdy. Stały tam tabliczki z napisem Roboty drogowe, czasem widziało się też grupki mężczyzn odbijających sobie dłonie o dna błyskających w słońcu flaszek. Mężczyźni nosili pomarańczowe kamizelki, przechylali się do tyłu i coraz głośniej powtarzali wciąż te same dwa trzy słowa. Słowa te zna dziś każde dziecko i nie ma co ich cytować. Ekipa łączności wsi z miastem odkrzykiwała wesoło to samo hasło, mięśnie prężyły się w ramionach, buciki piły jak cholera. Były to pierwsze roczniki bucików ze zmodernizowanego przemysłu, trochę podobne do tych, o których Lucynka z Paulinką twierdziły w „Przekroju", że „noszi się". Nosiło się, ale w rękach — aż do pierwszego objazdu w lewo. Z pierwszym objazdem zaczynało się wielkie miasto.

O czym marzy Mariolka, najładniejsza z całej byłej wsi? Za czym tęskni, patrząc spod przymrużonych czeskich rzęs na miejsce po topoli?

Najpierw pozdychały ryby w Smródce. Podobno Holendrzy zerwali umowę w sprawie szczawiowej zupy Szczawopolanki i kierownik zbytu odnośnej wytwórni nader dosłownie potraktował polecenie upłynnienia powstałych nadwyżek magazynowych: kilka tysięcy butelek wylał do Smródki. Okazało się, że ryby reagują na szczaw zdychaniem, w przeciwieństwie do ciotki Zuzi z Komorowa, która co niedzielę dawała mężowi szczaw i kopytka. Mąż cioci Zuzi dawno już kopytka... ale to nie należy do rzeczy. Pochowali go i spokój.

Potem przyjechał ciągnik i elektryczna piła. Akurat — niech to szlag trafi — nie zacięła się ani razu i bzzyk! — wszystkie topole legły pokotem. Stare to one były. Rosły ze sto lat, a tu zwyczajne bzzyk — i ni ma. Technika, co? Musiały paść, bo miano poszerzać drogę. Kiedy się powie: „miano" — to nie wiadomo, kto miał, i wszystko jest w porządku. Najpierw miano, potem zmieniono plany, tyle że topole już nie wstały. Dlatego Mariola patrzy spod przymrużonych czeskich rzęs na puste miejsce.

Fala Szczawiopolanki dawno spłynęła, przyszła po niej odżywka dla niemowląt „Herkulesik", ale — wyobraźcie sobie — ryby, chociaż też nie mówią, nie odżyły! Ustawiono więc nad Smródką tablicę z napisem: Łowienie ryb wzbronione! — i był to jedyny zakaz przestrzegany ściśle w okolicy: nikt nie łowił ryb.

Ale nie to było w głowie dziewczynie. Szła przed siebie, podnosząc coraz to inną nogę i stawiając ją z powrotem na ziemi. Na Żurawiej — —

(dalszy ciąg nastąpi)